



*GWEN PEMBERTON*



*Tajfun zwany Wandą*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

John Rockman zerknął na zegarek. Dopiero za dwadzieścia dwunasta, a on już pod domem? Czyżby za mocno nacisnął na gaz? Żałował, że nie zatrzymała go policja. Z chęcią zapłaciłby mandat. Byłby jego alibi przed żoną. John bowiem dobrze wiedział, że Wanda przestała wierzyć w jego wymówki.

A przecież dopiero od dwóch miesięcy wracał do domu w środku nocy.

W odsuwany dach hondy walił deszcz. John niewiele widział, mimo że wycieraczki pracowały bez przerwy. Przejechał przez kałużę i skręcił w podjazd. Światła samochodu padły na okna salonu, a John wyobraził sobie scenkę jak z podrzędnego filmu.

- Jestem niewinny, Wando... Powtarzam, niewinny.
- Daj spokój, Rocko. Znów się spóźniłeś.
- Tak, ale to nie moja wina. Powinnaś mieć pretensje do Jacksona.

To on chciał, żebym wprowadził więcej zmian w tym projekcie.

- Znów ta sama śpiewka.

Jasne. Nawet on sam przestał wierzyć w swoje wymówki.

A co dopiero Wanda?

Zgasił światła, potem silnik i wsłuchując się w rytmiczny szum deszczu, próbował wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Nic z tego. Kłamstwa nie były jego mocną stroną. Nie pozostało mu nic innego, jak powiedzieć prawdę.

Zastanawiał się, jak tym razem zareaguje Wanda. Spoglądając na dwupiętrowy dom, powtarzał sobie z uporem, że nie będzie awantury, że jego jasnowłosa żona na pewno już śpi, owinięta w jeden z jego podkoszulków.

Zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa, próbując pozbyć się pulsującego w skroniach bólu. Wyprostował się. Poczul, że boli go

również kręgosłup. Cholera, za siedem tygodni skończy dopiero trzydzieści pięć lat. Chyba za wcześnie na bóle krzyża? Może faktycznie za dużo pracował?

We wnętrzu samochodu zrobiło się duszno i nieprzyjemnie, więc postanowił wyjść na świeże powietrze. Mocując się z parasolem, nawet nie zauważył, że wszedł prosto w kałużę. Dopiero po chwili poczuł, że woda zalewa mu kostki. Nerwowo szarpnął parasolem. Raz i drugi. W końcu zamek puścił. John podniósł głowę i przez wielką dziurę w parasolu zobaczył czarne niebo.

- O żesz ty...! - mruknął pod nosem, wsunął zepsuty parasol pod pachę i czym prędzej pognął na ganek.

W ciemności namacał kluczem zamek i otworzył drzwi. Po omacku przycisnął włącznik światła w korytarzu. Nic. Nacisnął jeszcze raz. I kolejny. Znowu nic.

Pozostawiając mokre ślady po butach, poszedł do salonu. Dłonią namacał kolejny przycisk i znów bez skutku. Co jest, awaria? A może Wanda się wściekła i wykręciła żarówki? To do niej podobne.

- Kiepski dowcip, kochanie! - zawołał, stawiając na podłodze teczkę.

Na pamięć przeszedł pokój i podszedł do miejsca, w którym przy szeszłagu stała lampa w stylu art deco. Wyciągnął dłoń, żeby ją włączyć, ale trafił jedynie na pustą przestrzeń. Po szeszłagu też nie było śladu. Strasznie śmieszne!

Pewnie przestawiła meble, pomyślał. Musi być nieźle wkurzona. Trudno, rano będzie musiał jej przesłać z kwiaciarni tuzin róż. To powinno ją udobruchać.

Jeszcze raz wyciągnął rękę, zatoczył kółko, ale w końcu uznał, że nie ma sensu dłużej błądzić po omacku. Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek, które zawsze nosił przy sobie dla palących klientów, potarł draskę.

- Nie oszukasz starego harcerza, Wando!

Na krótką chwilę w pokoju zrobiło się jasno. Mrużąc oczy, potoczył wzrokiem wokół siebie, ale nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, dlatego zapalił drugą zapalną.

- Co znowu, u licha?

Nie, to niemożliwe! Wmawiał sobie, że albo światło jest za słabe, albo

jego oczy zbyt zmęczone. Przecież...

Trzecia zapalka zaplonęła tak jasno, że nie mogło być wątpliwości - salon był całkowicie pusty. Nie było w nim mebli, obrazów, ani jednej lampy. Nic.

Płomień sparzył Johna w palec. Rzucił na ziemię zapalkę i włożył palec do ust. Po krzyżu przeszedł mu lodowaty dreszcz. Jeszcze chwilę stał nieruchomo w ciemności, a potem wrzasnął na całe gardło jak jaskiniowiec:

- Wandaaa!!!
- Więc wykręciłaś żarówki? - z niedowierzaniem zapytała Dusty.
- Mhm - Wanda odpowiedziała siostrze z niezmaconym spokojem.
- Wszystkie, co do jednej?

- Nawet w łazience - odparła z dumą Wanda, wtulając się w purpurowe poduszki na wiklinowej sofie i nie spuszczać wzroku z telefonu. Podciągnęła pod siebie kolana i nakryła je sfatygowaną błękitną bluzą.

Jak przystało na starszą siostrę, Dusty usiadła naprzeciwko i pokręciła głową.

- Papier toaletowy, krem do golenia i jego ubrania też? Wanda przytaknęła.

- Wszystko spakowałam i wysłałam.
- Dokąd? Do magazynu?
- Można by tak powiedzieć.
- Dziewczyno, to się nazywa gruntowne sprzątnie! Mam nadzieję, że przynajmniej zostawiłaś mu jakąś informację.
- Kartkę z urodzinowymi życzeniami.
- Co chciałaś mu dać do zrozumienia?
- .. że pamiętam o jego urodzinach. - Wanda wzruszyła ramionami.
- I sądzisz, że wyprowadzając się z domu i zabierając wszystkie graty, zrobiłaś mu miły prezent? Wyobraź sobie tylko... Wrócił do domu i...

- Wrócił do domu w środku nocy - poprawiła Wanda.

- No dobrze. Wrócił w środku nocy, zmęczony, a właściwie wykończony. I co? Został pusty dom! Myśli więc sobie: „Pewnie byli złodzieje”, ale wtem zauważyła, że nie ma także jego żony. Oczywiście,

zaraz wpada w panikę. Wanda, John pewnie pomyślał, że zostałaś porwana!

- Na pewno nie. To zbyt dramatyczny scenariusz. On by na to nie wpadł. Dla niego wszystko jest logiczne, jasne i poukładane. W tym właśnie tkwi cały problem.

- Nie, siostrzyczko. Problem polega na tym, że twój mąż wraca do domu i zastaje opustoszały dom. Co właściwie zamierzasz przez to osiągnąć?

- Chcę uratować Johna. Odzyskać mojego męża.

- Opuszczając go?

Wanda podniosła się z sofy i podeszła do okna. Poranne słońce odbijało się od szyb w sąsiednim domu. Potraktowała to jako zapowiedź kolejnego ciepłego i słonecznego dnia. Mimo to w środku czuła chłód, była zła i ponura.

Odeszła od okna i opadła na sofę.

- Pamiętasz? Nasza babcia powtarzała: „W skrajnych sytuacjach stosuj skrajne metody.” Ja już próbowałam wszelkich środków. Wszystko na nic - westchnęła.

- A próbowałaś z nim rozmawiać?

- Owszem, ale za każdym razem John mnie przegadał, albo udobruchał w jakiś sposób...

- W jakiś sposób? - Dusty zmarszczyła brwi.

- No dobrze. W łóżku - sprecyzowała Wanda. - A potem budziłam się następnego ranka i znów odkrywałam, że go nie ma. John wychodzi do pracy przed piątą! Wyobrażasz sobie? Przecież muszę coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Jego pracowitość stała się chorobliwa. To obsesja, Dusty. John jest chory, śmiertelnie. A ja nie chcę tylko dopuścić, żeby padł martwy na swoim przyjęciu z okazji przejścia na emeryturę, jak nasz tato.

- John jest inny niż nasz tato.

- Nie przypomina też człowieka, którego poślubiłam. Stał się... kurczę, jakiś taki sztywny, oficjalny. To źle wpływa na jego pracę i przez to niszczy jego samego. Kóleczko się zamyka. Najnowsze projekty biurowców Johna wyglądają jak klatki dla zwierząt. Zresztą wszystko, co ostatnio wychodzi spod jego ołówka, właśnie tak wygląda. I będzie

wyglądać, dopóki on sam nie wydostanie się z własnej klatki.

- A co będzie, jeśli John tu zadzwoni? Przygotowałaś odpowiedni scenariusz czy też ma to być czysta improwizacja?

- Spokojna głowa, Dusty. Przyjechałam do ciebie wczoraj w nocy. Jeśli dotąd nie zadzwonił, to zadzwoni dopiero w niedzielę, bo tylko w ten dzień nie pracuje.

- Nie rozumiem. Jak go znam, John przejąłby się, gdybyś zapomniała o jego urodzinach. Ale żeby nie raczył zadzwonić i dowiedzieć się, czy jego żona jest u siostry, skoro nie ma jej w domu?

- A gdzie miałabym być? - Wanda spojrzała na Dusty jak na naiwną.  
- Wie, że nienawidzę hoteli, a to oznacza, że jestem u ciebie. To przecież logiczne. John nie zadzwoni. A te twoje gadki o porwaniach...

- To dlaczego ciągle nosisz ze sobą telefon? - przerwała Dusty. - Bo nie zadzwoni?

Wanda spojrzała na różowy aparat, który leżał na stolyczku do kawy. Ponad wszystko inne na świecie pragnęła usłyszeć głos Johna po drugiej stronie słuchawki. Była jednak przekonana, że jej szanowny małżonek wpadnie w wir pracy i pomyśli o niej dopiero w drodze do domu. A wtedy będzie już za późno, żeby dzwonić i niepokoić Dusty.

Opuściła głowę i ukradkiem spojrzała na siostrę.

- Chcę mieć dziecko.

- Masz ci los. Jeszcze to.

- Nie patrz tak na mnie.

- To znaczy jak?

- Jakbym była świrem, który uciekł z domu wariatów. Mam swoje lata i... i chcę urodzić dziecko, zanim będę za stara.

- Ja jestem cztery lata starsza i nie rozpaczam.

- Może rozpaczałabyś, gdybyś była mężatką.

- Wanda! - Dusty poczuła się wyraźnie dotknięta. - To nie ja oczyściłam mieszkanie, zostawiłam męża i uciekłam do siostry.

Wanda odsunęła z twarzy kosmyki włosów i spojrzała siostrze w oczy.

- Przepraszam. Źle się wyraziłam. Chciałam tylko powiedzieć, że może lepiej byś mnie zrozumiała, gdybyś była mężatką z dziesięcioletnim stażem, która na każdą wzmiankę o dzieciach słyszy

jedno i to samo: „Nie teraz, kochanie. Poczekajmy jeszcze rok”. A ja mam dość czekania! Chcę urodzić dziecko. Natychmiast. I żeby była jasność - dziecko Johna.

- Nie zapomniałaś czasem, że ciąża trwa zazwyczaj dziewięć miesięcy? I że raczej trudno w nią zajść na odległość - John w Waszyngtonie, a ty w Richmond?

- Owszem. Pomyślałam, ale mam na to pewną radę... Dusty zamknęła oczy.

- Nie, Wanda, nie chcę nawet tego słuchać - powiedziała błagalnie.

- Zamknij się i posłuchaj. To dobry pomysł... No, może trochę zwariowany.

- A który z twoich pomysłów nie jest zwariowany?

- Ale wszystkie są skuteczne. No dobrze. Większość jest skuteczna... po drobnych przeróbkach.

- Tylko mi nie mów, że mam do odegrania jakąś rolę w tym planie.

- Najpierw posłuchaj. Na pewno ci cię spodoba.

- Wiedziałam! - jęknęła Dusty, przysuwając się do siostry.

John jechał do pracy z otwartymi szybami i wyjąłym radiem. Był całkowicie skupiony na drodze przed sobą. Zatoczył łuk i wjechał na parking biurowca R&S Architects. Był z siebie bardzo zadowolony - nie zasnął za kierownicą.

A nie był przecież wypoczęty. W końcu noc spędził na podłodze w sypialni, a za poduszkę posłużyła mu ściana. Kiedy obudził się rano z urodzinową kartką w dłoni, czuł ból we wszystkich stawach, a nogi nie chciały unieść ciężaru ciała.

Teraz, kiedy wspinał się po schodach, pochwalił siebie w myślach za przeczność. Na wszelki wypadek trzymał w biurze kilka par ubrań i niezbędne kosmetyki. Miał nadzieję, że uda mu się chociaż ogolić i umyć zęby, zanim ktokolwiek go zobaczy. Pośpiesznie otworzył drzwi i... stanął nos w nos z Larrym Shu.

- Co się tu dzieje? - zapytał Larry, przenosząc spojrzenie z Johna na gabinet i z powrotem.

- Nie mam pojęcia. Dzwoniła?

- Kto?

- Wanda.



- Wanda? Nie, a miała? Ona wie, o co tutaj chodzi, prawda? Nagle w korytarzu pojawiło się dwóch mężczyzn, niosących ciężki mebel.

- Przechodzi, przechodzi! - krzyknął jeden z nich, odpychając Larry'ego na bok.

John powiódł wzrokiem za przeciskającymi się przez drzwi robotnikami i ku swemu przerażeniu zorientował się, że niosą jego własną komodę!

- Co jest grane, do cholery! - zawołał, odpychając Larry'ego. Spojrzał w głąb korytarza. Dwóch innych mężczyzn niosło jego szeszląg, którego nie znalazł poprzedniego dnia we własnym salonie.

- To moje!!! - wrzasnął.

- Fakt - przytaknął Larry. - Są też twoje stoły, krzesła. Cały dom. Człowieku, dlaczego kazałeś przenieść to do biura?

- Kazałem?! Kiedy to wszystko przyjechało?

- O siódmej... Może trochę wcześniej. W każdym razie jak przyjechałem, już tu było. Nieważne. Zabierz stąd te rupiecie, stary, bo nie da rady pracować. Też miałeś pomysł. - Larry spojrzał na Johna jak na wariata.

John zerknął przez wejściowe drzwi do budynku. Na chodniku stała jego lodówka, a w podwórku stos pudeł, które rzędem ciągnęły się również po schodach. Nie można było przejść, nie potykając się o nie. Nie czekając, popędził z powrotem do biura.

- Boże! - jęknął, widząc materac, lampkę i nocny stolik, wciśnięte w róg gabinetu. Biurko zajmowały walizki, a na stole kreślarskim stał duży karton z żarówkami.

- Kiepski wystrój - skomentował Larry. - A ty wyglądasz jak wyciśnięta cytryna.

John podszedł do okna. Na dole robotnicy mocowali się właśnie z lodówką. Starczy tego dobrego, pomyślał i wszedł do łazienki. Spokojnie powiesił płaszcz na wieszaku, zdjął koszulę, zwinął ją i położył na półkę. Podłączył do prądu elektryczną golarkę i przesunął nią po twarzy.

Po chwili w lustrze obok swego odbicia zobaczył twarz Larry'ego, który zmarszczył groźnie brwi, a zaraz za nim jednego z robotników, wymachującego jakimś świstkiem.



- Gotowe - oświadczył mężczyzna, podając mu rachunek. - Ludzie, co wy chcecie z tymi rzeczami zrobić? Zakładacie magazyn czy co?
- John? Pan pyta, czy zakładamy magazyn? - powtórzył Larry.
- Wanda mnie rzuciła - odparł John przez usta pełne pasty do zębów.
- Co?
- Nie na dobre, tylko dla efektu. Sądzi, że swoją wypowiedzią zrobi na mnie wrażenie. Jak zwykle przegina. Jeśli chcesz znać prawdę, to powiem ci, że ona ma po prostu za dużo wolnego czasu. Ja mam terminy, plany, klientów... - John wyplukał szczoteczkę - .. i nie mam czasu na głupie myśli. Pewnie, pracuję do nocy, ale nie potrafię zrezygnować z tego zawodu. A Wanda potrafi. Szef nie pozwolił jej pracować na pół etatu, więc nazwała go zgredem i zakompleksionym wrogiem wartości rodzinnych, po czym wymaszerowała z biura. Ale ja według niej jestem jeszcze gorszy. - John złożył w kostkę papierowy ręcznik. - Ja, kapujesz? - Cisnął papierem do kosza na śmieci.
- Hej! Spokojnie! O czym ty w ogóle mówisz?
- To jeszcze nic, stary. Wanda ma bzika na punkcie psa.
- No i co w tym dziwnego?
- A wspomniałem ci o dziecku? - ciągnął John. - Gdybym miał wybierać, z dwojga złego wybrałbym psa. Przynajmniej nie trzeba się martwić o jego edukację.
- Nie lubisz dzieci, John?
- Owszem, lubię. To Wanda twierdzi, że ich nie znoszę. Po prostu nie jesteśmy jeszcze gotowi...
- Ale zrobiła panu numer! - wtrącił robotnik. - Pan z tym idzie, szefie, do jakiegoś talk-show w telewizji. Kupią ten temat.
- Kim pan jest? - zapytał rozdrażniony John.
- Danny, przewoży i przeprowadzki.
- To może by się pan stąd wprowadził?
- Jasne. Już skończyliśmy. Proszę tylko podpisać. - Danny wręczył Larry'emu rachunek, a ten przekazał go Johnowi.
- Wróciłem do pustego domu, Larry! - John odezwał się dramatycznie, podpisując dokument. - Nie było ani mebli, ani mojej żony!
- Wiemy przynajmniej, gdzie są meble. A co z Wandą?

- Pewnie jest u siostry.

- Jak to „pewnie”? Jeszcze nie dzwoniłeś?

- Zdemontowała wszystkie telefony.

- Telefony? - zapytał robotnik. - Szuka pan telefonu? Proszę sprawdzić niebieskie pudło w korytarzu.

- Dzięki, Danny. A teraz posłuchaj: rozumiem, że możesz odwieźć wszystkie te rzeczy z powrotem - powiedział John, wkładając świeżą koszulę.

- Jasne. Jeśli pan zapłaci za podwójny kurs, nie ma problemu. John umieścił na dokumentach adnotację i oddał je Danny'emu.

- Zwrot do nadawcy? - odczytał robotnik. - Nie ma sprawy, królu złoty - dodał rozpromieniony i zniknął za drzwiami.

- Moja dziewięćdziesięciodziewięcioletnia babcia miałaby na tę okazję jakieś powiedzenie - powiedział Larry, gdy zostali sami.

- Jakie?

- Nie wiem. Zawsze sypie z rękawa chińskimi przysłowiami. Na każdą okazję ma inne.

John jęknął i wyszedł z łazienki. Larry popędził za nim.

- Wychodzisz?

- Tak. Dzisiaj robię sobie wolne.

- Przecież nigdy nie bierzesz wolnego! A co z Jacksonem? W poniedziałek będzie chciał zobaczyć nowe projekty!

- Mam nadzieję, że do tego czasu zdążę doprowadzić do porządku swoje sprawy. Ale gdyby zadzwonił wcześniej, powiedz mu, że wyjechałem na inspekcję.

- O czym ty mówisz? Dokąd jedziesz?

- Jadę do samego epicentrum, Larry. W oko cyklonu, do Wandy - wyjaśnił John i już wsiadał do samochodu.

- Nie jedź, jesteś wściekły! - krzyknął za nim Larry.

Ale John wcale nie był wściekły. Miał zamiar stawić czoło problemowi w logiczny i racjonalny sposób.

- Dzwon, ty uparty potworze! No dzwon! - Wanda trzymała telefon blisko twarzy i raz po raz nim potrząsała. - Jeśli nie zadzwonisz, mój plan nie wypali.

Opadła na sofę i zwinęła dłonie na brzuchu. Nawet Dusty przyznała,

że jej pomysł jest znakomity. A na dodatek zgodziła się pomóc. Teraz tylko brakowało współpracy Johna.

Wanda spojrzała raz jeszcze na telefon i wykrzywiła twarz w niecierpliwym grymasie. Chciała ratować małżeństwo, a nawet w tak dramatycznej sytuacji John stawał okoniem. Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że mąż siedzi przy niej na sofie, przytula się do niej ciepłym muskularnym ciałem, muska krzywym nosem jej ramię...

John złamał nos w dzieciństwie. Teraz, kiedy się śmiał albo tylko uśmiechał, jego nos przekrzywiał się w prawo. Wanda to uwielbiała. Tak samo jak dmuchanie do ucha przy pocałunku.

Na myśl o pieśczościach zadrzała. Szybko wstała z sofy i zaczęła strofować się za nierozważne marzenia. Jeśli teraz nie umie się opanować, to co będzie, kiedy zjawi się John?

Postanowiwszy, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie dla zabicia myśli, zaczęła nakrywać do stołu. Chciała wszystko przygotować, zanim Dusty wróci z zakupów. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, pomyślała, że siostra zapomniała wziąć klucze i szybko pobiegła do wejścia. Kiedy jednak otworzyła drzwi, zamarła.

Jego sylwetka przesłaniała całe wejście. Spoza okularów spoglądał na Wandę smutnymi brązowymi oczyma i lekko się uśmiechał. W jednej dłoni trzymał kwiaty, w drugiej torbę z zakupami.

- Tuzin róż i butelka szampana. Rekompensata strat moralnych - powiedział, wręczając jej pakunki.

Wanda spojrzała na nie, po czym przeniosła spojrzenie na Johna.

- Miałeś najpierw zadzwonić - powiedziała.

- Pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jeśli stawię się osobiście - odparł i musnął ustami jej policzek. Wanda poczuła, że całe jej ciało najpierw się napina, a potem mięknie. Westchnęła. Znowu to samo.

- A idź do diabła! - mruknęła z desperacją, po czym odepchnęła Johna i zamknęła mu drzwi przed nosem.



## ROZDZIAŁ DRUGI

- Wanda! Otwórz drzwi! Kochanie! Wando, koniec tych gier! Ten numer z meblami to dla ciebie za mało? Musimy natychmiast porozmawiać! Wanda!!!

Nie była gotowa na rozmowę. Nie teraz i na pewno nie w cztery oczy. Chciała pertraktować przez telefon, ale John zniweczył jej plany. Oparła się o drzwi, wstrzymała oddech i po chwili uśmiechnęła się do siebie. W zasadzie dobrze się stało. Przetrzyma go pod drzwiami kilka minut.

Odwróciła się, by pójść do pokoju, gdy jednak usłyszała na klatce schodowej jego ciężkie, oddalające się kroki, rzuciła się do drzwi, otworzyła je i wybiegła na zewnątrz.

- John, wracaj natychmiast!

Niestety, po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych, a potem już tylko ciszę.

I co teraz? A jeśli to była pierwsza i ostatnia szansa uratowania ich związku? Czy John jeszcze zadzwoni? Bo z całą pewnością już nie przyjedzie.

No i co z tego? Po co jej jego wizyty, skoro zachowuje się jak szaleniec? Chciał ją pewnie rzucić na kolana i namówić na powrót do domu. Pewnie nawet wyliczył czas co do sekundy - dwie godziny jazdy do Richmond, trzyminutowa rozmowa i całus, trwający zaledwie sekundę.

- Wariat - powiedziała do siebie głośno, odwróciła się na pięcie i wróciła do mieszkania siostry.

Przed drzwiami wciąż leżały rozrzucone czerwone róże i otwarte pudełko. Zawsze kiedy wpadała w złość, John o nic nie pytał, tylko przysyłał jej tuzin róż - zawsze długich, czerwonych i bez żadnej notki. Pozbierała kwiaty i podniosła pudełko, z którego unosił się delikatny zapach perfum. Zaciągnęła się nim głęboko, aż zakręciło się jej w głowie.

Ten sam zapach, ta sama kwiaciarnia...

I jak zwykle żadnej karteczki.

Ściskając róże w jednej, a perfumy w drugiej dłoni, podbiegła wściekła do okna. Na podwórku wciąż jeszcze stał samochód Johna, wychyliła się więc i czekała, aż nadejdzie, żeby.

Wtem w zamku szczęknął klucz i otworzyły się drzwi. Wanda gwałtownie odwróciła się, róże zaś, oczywiście, wypadły jej z rak i posypały się na chodnik.

W drzwiach stała Dusty z torbami pełnymi zakupów, natomiast za nią - John.

- Samobójczy skok z okna to najgorszy pomysł na rozwiązanie problemów - powiedział.

- Jeśli ktokolwiek opuści to mieszkanie przez okno, to na pewno nie będę to ja - parsknęła Wanda.

- Jeśli cię to interesuje - wtrąciła Dusty - spotkałam Johna na korytarzu i namówiłam, żeby wszedł na górę. Dlatego proszę cię uprzejmie, żebyś nie odgryzała mu głowy ani nie wyrzucała go przez okno.

- Nie daję żadnej gwarancji.

- Rozumiem. Skoro więc macie się tłuc, to ja sobie pójdę. Nie znoszę widoku krwi.

Wanda przyjrzała się uważnie mężowi. Sprawiał wrażenie kompletnie zmieszanego. Miał powody. On, wróg wszelkich zmian i nieporządku, doświadczał właśnie zamętu i całkowitego przewrotu w swoim życiu. Wandzie zrobiło się go żal. Doceniła jego wysiłek i próbę pojednania. W końcu przejechał kawał drogi tylko po to, żeby ją zobaczyć. Gdy więc oświadczył: - Musimy porozmawiać - szepnęła tylko:

- Tak, Johnie - i dodała: - wracajmy do domu.

- Zgoda! - rozpromienił się natychmiast. - Jedźmy już! Obiecałem Larry'emu, że niedługo wrócę.

Ostatnie słowa zmroziły Wandę.

- Jesteś pewien, że możesz mi poświęcić choć chwilę swojego cennego czasu?

- Naturalnie. Powiedz mi tylko, co twoim zdaniem tym razem zrobiłem nie tak. Możemy zacząć rozmawiać teraz, a dokończymy po

drodze do Waszyngtonu.

- Według ciebie to aż takie proste?

- A co w tym może być skomplikowanego? Jesteś wściekła, bo pracuję do nocy, prawda? - zapytał domyślnie.

- I to wszystko?

- No dobra - uśmiechnął się pojednawczo. - Myślisz, że nie wiem, co cię trapi? Nie przejmuj się. Sprawę z Jacksonem już prawie załatwiłem. Niedługo wszystko wróci do normy.

- Do normy? To znaczy od piątej rano do dziewiątej wieczorem? A może od dziewiątej rano do północy? Ty naprawdę nie masz pojęcia, o co mi chodzi. - Pokręciła bezradnie głową.

John zmarszczył brwi.

- Wando, nie irytuj się, proszę. Jest jeszcze coś, co cię denerwuje?

- Wiele rzeczy mnie denerwuje. Musimy wszystko zacząć od początku.

- Dobrze. Zacznijmy od początku. No więc ja powiedziałem, że jesteś wściekła, bo pracuję do nocy, a ty powiedziałaś, że...

- Nie chodzi mi o rozmowę, tylko o nasze małżeństwo -przerwała Wanda. - Musimy od nowa ułożyć sobie nasze małżeństwo.

- Co? Dlaczego? Co ja takiego powiedziałem? Aha. Pewnie chodzi ci o tego psa. Ciągłe masz bzika na jego punkcie? Nie ma sprawy...

- Nie - przerwała. - Nie chodzi o psa. Chodzi mi o nas i o to, dokąd zmierzamy lub też dokąd nie zmierzamy...

- O rany, przecież naprawdę świetnie nam razem. Prowadzimy wygodne życie, mamy nowy dom, firma prosperuje... Kiedy tylko skończę z Jacksonem, wszystko wróci do dawnego schematu.

- No i co wtedy, John? Twoim celem było stworzenie renomowanej firmy. R&S ma już renomę. Co dalej? - prowokowała go.

- Co dalej? Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, żeby być jeszcze lepszym. Możemy się stać jedną z najlepszych spółek w całym stanie, a nawet kraju.

- Mhm. Jeśli tylko będziemy trzymać się planu - dodała Wanda.

- Właśnie. A dlaczego mielibyśmy się go nie trzymać?

- Ze względu na cenę. Życia nie da się zaplanować z ołówkiem w rękę. Życie jest pełne niespodzianek, różnych zdarzeń... Nie chciałabym



ich przeoczyć tylko dlatego, że muszę trzymać się kurczowo jakiegoś planu.

- No cóż, zgadzam się, ale w końcu można przewidzieć te, jak to nazwałaś, niespodzianki i przygotować się na nie. Przynajmniej na niektóre. Nie wolno dopuścić, żeby cokolwiek okazało się totalnym zaskoczeniem, bo dopiero wtedy zaczną się problemy...

- Ano właśnie! To jest nasz największy ból. Dla ciebie niektóre rzeczy to wyłącznie problemy, ja natomiast uważam, że te... problemy dodają smaku w życiu. A naszemu życiu... naszemu małżeństwu brakuje... smaku, pikanterii.

- Smaku? A co to ma być? Lekcja gotowania czy jak? Dobra. Chcesz pikanterii, będziesz ją mieć. Chcesz pojechać na wycieczkę do egzotycznych krajów? Na przykład w Tybet? A może kupimy łódź i pozelegujemy na Karaibach? Za kilka lat będzie nas na to stać. Wystarczy jedno słowo. Powiedz tylko, czego chcesz.

- Dziecka - wyrwało się Wandzie.

To małe słówko zawsze miało magiczną moc. Tym razem również. W jednej chwili zapadła cisza tak głęboka, że niemal przygniotła ją do ziemi.

- Ale nie to słowo - jęknął John.

- Oczywiście, że nie. - Wanda wiedziała doskonale, że za wcześnie jeszcze na dyskusję o dziecku. Najpierw musiała omówić z Johnem kilka innych spraw. - Nie musimy jechać do egzotycznych krajów. Wystarczy nam rozmowa, zasadnicza rozmowa, John. Ja nie mogę tak żyć... Ilekroć wychodzimy do restauracji, traktujesz kolację jak okazję do odliczenia podatkowego. Nawet nie wiem, dlaczego zgadzam się z tobą dokądkolwiek pójść. Oczywiście, zawsze spotykasz klientów i rozmawiasz z nimi o interesach, a mnie nawet nie zauważasz.

- Wando, ja cię kocham. Szanuję cię... i zauważam.

- To zamknij oczy.

- Zamknij oczy. No już. Zamykaj. A teraz powiedz mi, co mam na sobie.

John przygryzł dolną wargę, na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- To idiotyczne! - parsknął.

- Nie podglądaj. Mów.



- Różowe...! - wydusił wreszcie z siebie.

- Tak myślałam - powiedziała Wanda, spoglądając na swój wyciągnięty błękitny sweter. - Różowy to jeden z niewielu kolorów, których nie cierpię.

- Niebieski, różowy... Co za różnica? Nie o to przecież chodzi. Kocham cię i ty mnie kochasz, prawda?

- Tak. I nigdy nie przestanę.

- No więc dlaczego wciąż tu jesteśmy? Jedźmy do domu.

- Nie. Powiedziałam, że musimy wszystko zacząć od nowa, i podtrzymuję swoje zdanie.

- Czy koniecznie musimy zaczynać tu, w salonie Dusty? Nie możemy tego zrobić w domu?

- Nie. I ty wiesz, dlaczego. Setki razy próbowałam cię naciągnąć na tę rozmowę. Przypominasz sobie, jak za każdym razem się kończyło?

- W sypialni - bąknął głupkowato. Wanda oblała się rumieńcem.

- No właśnie - odparła. - Ale tym razem będzie inaczej: pojedziesz do Waszyngtonu, a potem zadzwonisz do mnie i zaprosisz mnie tak, jakbyśmy się umawiali na pierwszą randkę.

- Mam się umówić na pierwszą randkę z kobietą, która od dziesięciu lat jest moją żoną?

- Użyj wyobraźni.

- No dobrze. Zadzwonię, umówimy się na randkę. Co dalej?

- Przyjedziesz po mnie.

- Wando! To niemądre. Nie mam czasu, żeby umawiać się na randkę w Richmond. Na plecach czuję oddech Jacksona. Ten facet to debil. Nie mogę sobie pozwolić na romantyczne wakacje.

- Jeśli nasz związek jest dla ciebie ważny, spróbujesz.

- Wando... - jęknął, zaraz jednak potarł dłońią skroń i powiedział: - Okay, wygrałaś. Będziesz miała swoją randkę. Nawet sześć. Ale zaplanujmy je jakoś, zgoda? Chociaż to dla mnie zrób. Proponuję, żeby cały ten cyrk nie trwał dłużej niż dwa tygodnie. Jeśli w tym czasie nie uporamy się z naszymi problemami, żadne randki nie pomogą.

- Zgoda.

- Przyjadę po ciebie koło siódmej, przegryziemy coś, a potem wskoczmy do kina.

- W kinie nie można rozmawiać. Co powiesz na kolację?  
- Gdzie?  
- Zrób mi niespodziankę i zaproś mnie gdzieś... do jakiegoś wyjątkowego miejsca!

- Świetnie. No to o siódmej. - John nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Wanda podbiegła do niego, zanim zdążył wyjść. Chwyliła go za dłoń.

- Dziękuję, że się zgodziłeś - szepnęła.  
Przytulił ją do siebie, poczuł bicie jej serca i zapach skóry - i zareagował od razu. Nabrzmiała męskość otarła się o ciało Wandy, a John nakrył dłonią jej pośladki i przyciągnął ją bliżej ku sobie.

- Wracajmy do domu, Wando - szepnął ochrypniętym głosem. - Razem.

- Wrócimy.  
- Ale teraz. Jedź ze mną teraz.  
Spojrzała mu w oczy.  
Nie. Jeśli teraz ulegnie, jeśli wsiądzie do auta i pojedzie z Johnem do Waszyngtonu, w ich życiu nigdy już nic się nie zmieni, pomyślała. Kiedy więc zniżył głowę, żeby ją pocałować, w porę nakryła wargi dłonią.

- Wrócimy - powtórzyła, odsuwając się od niego - ale najpierw musimy pójść na randkę. Udaną randkę.

- Jasne. To będzie fantastyczny wieczór.  
- A więc do zobaczenia.  
- Nie pocałujesz mnie na dobranoc?  
- Następnym razem - szepnęła, zalotnie podnosząc wzrok.  
- Aha, i jeszcze coś. - Zatrzymała go, kiedy miał już odejść.  
- Pamiętasz, John, co się stało w pierwszy wieczór, kiedy się umówiliśmy?  
Odwrócił się i spojrzał na nią zmieszany.

- Nic - uśmiechnęła się słodko. - Absolutnie nic, ponieważ powiedziałam „nie” - dodała i zamknęła drzwi.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Udekorowana tropikalnymi kwiatami restauracja była wprawdzie jeszcze nieczynna, ale już tętniło w niej życie. Kelnerzy w pośpiechu nakrywali stoły, z kuchni dochodziły pokrzykiwania kucharzy i zniewalający aromat bazylii, cebuli i czosnku. Wymarzone miejsce na pikantną randkę, pomyślał John, stając obok szefa lokalu, który sięgał mu do ramienia i nosił się z dumą godną monarchy.

- Uzgadniał pan już szczegóły przez telefon. Nie trzeba się było osobiście fatygować, proszę pana - powiedział mężczyzna.

- Zawodowy nawyk - odparł John. - Jestem pewien, że pańska znakomita restauracja nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby klient wpadł raz czy dwa i osobiście sprawdził, czy wszystko gra.

- Trzy razy - poprawił mężczyzna. - Zarezerwowaliśmy stół na dwie osoby punktualnie na dziewiętnastą czterdzieści pięć. Dlaczego? Dlatego że o dziewiętnastej odbiera pan towarzyszkę, a podróż przez miasto zabierze panu dokładnie czterdzieści dwie minuty - wyrecytował.

- Tak, osobiście wyliczyłem czas - wyjaśnił John,

- Nie wątpię, proszę pana. Dalej... Dostaną państwo stół, który zagwarantuje intymną atmosferę. Szampan i menu zostaną podane, jak tylko państwo usiądą przy stole. Kelner przyjdzie dziesięć minut później.

- A...?

- Wiem, wiem - szef uspokajająco uniósł dłoń - dwie butelki już się chłodzą. Wszystko jest pod kontrolą, proszę pana. Mam nadzieję, że uzna pan, iż nie ma potrzeby zachodzenia do nas po raz czwarty. Naprawdę...

John nie odezwał się ani słowem, sięgnął tylko do kieszeni i wyjął z niej odliczone pieniądze na napiwek.

- Co to ma być?

- Niewykluczone, że będziemy się dość głośno zachowywać. Wie pan, chciałbym z góry zapłacić za wszelkie niedogodności, które

możemy spowodować swoim towarzystwem. -Wcisnął banknoty w dłoń mężczyzny, z satysfakcją spojrzął na jego pobladłą z wrażenia twarz i odszedł.

Jadąc przez miasto, pomyślał, że będzie to jedna z najdroższych randek w jego życiu. Sama kolacja to więcej niż sto dolarów, a doba hotelowa dwa razy tyle...

Uśmiechnął się do siebie, wspominając czasy dzieciństwa, kiedy to koczował z matką w hotelach i na campingach. Życie nauczyło go, że wszystko należy zaplanować z dużym wyprzedzeniem. Ale zapobiegliwość i samodyscyplina nie oznacza jeszcze, że jest się sztywniakiem. Czy Wanda tak właśnie o nim myślała? Cholera, nie rozumiała go, bo wychowała się w zupełnie innych warunkach. To właśnie postanowił jej wytłumaczyć, jak tylko wróćą po kolacji do domu. Najpierw musiał jednak dać jej tę odrobinę upragnionej pikanterii. A niech tam!

Zaparkował przed domem Dusty i przez chwilę siedział w samochodzie, rozmyślając. Wybrał najlepszą restaurację w mieście, zarezerwował hotel na dwa dni, mówiąc obsłudze, że spędzi w nim swój miodowy weekend. W wejściu miały na nich czekać kwiaty i szampan. Wanda dostanie swoją pikanterię, posmakuje życia. A po namiętnej nocy, nie będzie już narzekać...

Na myśl o wspólnej miłości poczuł skurcz w żołądku i mimowolne podniecenie. Tak, tak, dopnie swego. Jeszcze tej nocy będzie wiła się z rozkoszy w jego ramionach!

Przejrzał się we wstecznym lusterku, poprawił muszkę i jeszcze raz przetarł buty.

- No, dobra, a teraz drzyj, Wando! Idę do ciebie - powiedział i zatrzasnął za sobą drzwiczki samochodu.

Zatrzymał się pod drzwiami, jeszcze raz poprawił muszkę i wyprostował klapy smokingu. Zastanawiał się przez chwilę, co żona powie na jego widok, potem uśmiechnął się filuternie i nacisnął dzwonek. Nikt nie otworzył drzwi, więc zadzwonił jeszcze raz.

Po dziesięciu sekundach zaczął się denerwować. Co znowu wymyśliła? Już zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno umówił się z nią na ten dzień i o tej godzinie, kiedy drzwi otworzyły się wreszcie.

- Przepraszam... - Widząc Dusty, odezwał się niepewnie, świadom niezwykłości swego stroju. - Myślałem, że...

- ...otworzy ci Wanda? Nie przejmuj się. Znam to uczucie.

Uśmiechnęła się szeroko i zrobiła mu przejście. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i gwizdnęła z uznaniem.

- Może być? - zapytał John.

- Pewnie.

- Wanda gotowa?

- To zależy. Pójdę po nią i sam zobaczysz - powiedziała i po chwili zniknęła za drzwiami. - Przyszedł do ciebie jakiś podrywacz - usłyszał jej słowa, a po chwili zgodny chcichot obu kobiet.

To nerwowy odruch, w końcu dziewczyna idzie na pierwszą randkę, tłumaczył sobie tę niezwykłą reakcję. Nie spodziewał się wprawdzie po Wandzie, że będzie zdenerwowana, ale poczytał to za dobrą monetę.

Podszedł do okna. Wieczór był idealny na romantyczne spotkanie - bezchmurne niebo, księżyc, gwiazdy. Gdyby byli w Waszyngtonie, zabrałby Wandę po kolacji na spacer wzdłuż zatoki; tu, w Richmond czuł się nieco zagubiony.

Rozmyślenia przerwał mu głośniejszy stukot obcasów.

- Ojej! Dusty miała rację. Naprawdę nieźle wyglądasz - powitała go jego własna żona.

Ale czy to naprawdę była jego żona?

John wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wanda miała na sobie czarne kozaki ze srebrnymi nosami, obcisłe dżinsy w tym samym kolorze i czerwoną koszulę, wydekolowaną prawie do pasa. Z dłonią opartą na biodrze i burzą nieulożonych włosów wyglądała jak kowbojka.

- Jeszcze... nie jesteś gotowa?

- Ależ jestem. - Odrzuciła głowę do tyłu. W jej oczach John dostrzegł błękitny blask. Uderzyło go, że są tak bardzo jasne. Kiedy Wanda była smutna, jej oczy przesłaniała mleczna mgła, teraz jednak lśniły jak Morze Karaibskie.

- Zarezerwowałem stół w czterogwiazdkowej restauracji. Nie pójdziesz tam chyba w takim stroju.

- Nie? No trudno. Ale mam na oku inne miejsce.

- Gdzie? Na ranczo? Zrobiłem rezerwację w najbardziej luksusowym

lokalu w mieście, bo zasugerowałaś, żebyśmy zjedli razem kolację.

- Nie znasz wszystkich lokali w tym mieście. Poza tym sugerowałam niespodziankę.

- Powiedziałaś: „Zrób mi niespodziankę”, a nie odwrotnie.

- Daj spokój, nie bądź taki drobiazgowy. Musisz się przygotować na różne warianty. Jesteś gotowy na wiejskie jedzenie i tańce w stylu country?

- A spójrz na mnie. Czy ja pasuję do kowbojów?

- Dlaczego nie? Masz za ciasne buty?

- Wando - westchnął. - Zobacz, jak jestem ubrany.

- Dla mnie wyglądasz super. Jak elegancki gracz w kasynie.

- Świetnie - parsknął John.

-Iw dodatkowo dobrze pachniesz. - Wanda obwąchała jego pierś. Przez chwilę walczył ze sobą, żeby w jej rozwichrzone włosy nie wsunąć palców. Zastanawiał się, kto tu kogo uwodzi. Wstrzymał oddech i policzył do dziesięciu. Gdy doszedł do pięćdziesięciu, uświadomił sobie, że Wanda wciąż do niego mówi. - ...umiejętność przystosowania się, spontaniczność, pikanteria. Pamiętasz? No, John. To nasza pierwsza randka. Powiedziałaś, że spróbujesz. A poza tym ty bardziej będziesz pasował do „Lone Ranger's” niż ja do jakiejś wymyślnej restauracji.

A więc zamiast homara i szampana czekają nas żeberka z kapustą, pomyślał, nieco zbity z tropu tą perspektywą. Ale nic to - wieczór i tak zakończy się w wielkim królewskim łożu!

- W porządku - odezwał się. - Spełnię twoje marzenia. Prowadź do tej stajni.

- Nareszcie! - Wanda zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go w policzek. - Dusty! Zbieraj się!

- Dusty? Przecież ona z nami nie idzie. - John przypomniał sobie teraz, że siostra Wandy otworzyła mu drzwi w stroju całkiem podobnym do stroju jego żony.

- Oczywiście, że idzie. Kobieta nigdy nie chodzi sama na pierwszą randkę.

- Naturalnie - mruknął John. - Chodźcie więc, szanowne panie - zaoferował ramię każdej z sióstr, pocieszając się w duchu, że chłopcy z „Lone Ranger's” nie mają tak ognistego temperamentu, jak ci z



westernów.

- Jeszcze chwila - poprosiła Dusty. - Musimy poczekać na Charliego.
- Na kogo?

W tej samej chwili John usłyszał dzwonek, a zaraz potem Wanda otworzyła drzwi barczystemu mężczyźnie z wąsami.

- John, poznaj Charliego - powiedziała Dusty, wprowadzając przybysza do salonu. - To mój towarzysz na dzisiejszy wieczór.

- Nie wiem dlaczego, ale wcale mnie to nie uspokaja.

- Wyluzuj się trochę. Może być tylko gorzej - Dusty szepnęła mu dyskretnie do ucha.

- To wiem.

Cała czwórka zeszła na dół, gdzie obok hondy Johna stała zielona półciężarówka.

- Wskakuj - rozkazała Dusty, wdrapując się na miejsce za szoferką. - Pojedziemy razem.

- Czy powinienem pytać, co Charlie wozi na tych siedzeniach?

- Nie powinienes. Nie chciałbyś tego wiedzieć.

Jeszcze zanim wszyscy się usadowili, ciężarówka ruszyła z kopyta niczym dziki mustang. Dusty przytrzymała na głowie kapelusz, John złapał się za klamkę. Wkrótce zniknęły światła miasta i zastąpił je wiejski krajobraz. Droga stała się węższa i bardziej kręta, jednak kierowca nie zdejmował nogi z gazu ani na chwilę.

- Gdzie ten facet uczył się jeździć? W rodeo? - zawołał John do ucha Dusty.

- Charlie jest dobrym kierowcą! Jeśli masz jakieś zażalenia, zgłoś je Wandzie! To ona siedzi za kierownicą!

- A więc prowadzi tak, jak myśli - zbyt szybko i zbyt ryzykownie!

- Szczerze, John, to współczuję ci, że musisz przez to przejść!

Bardzo ją kochasz, prawda?

- Nie tak bardzo jak dwadzieścia minut temu! Ciężarówka zatrzymała się równie nagle, jak ruszyła i oboje wylądowali na podłodze. John wsparł się na łokciu, wyjrzał przez okno. Zauważył, że Wanda i Charlie idą w stronę jakiejś bramy, a następnie znikają za potężnymi drzwiami, zza których przeraźliwie grzmi głośna muzyka. W jej rytm trzęsło się wszystko - drzewa, ciężarówka, no i sam John.



Wyskoczył z wozu, zdjął marynarkę, muszkę wsunął w kieszeń i odpiął kilka guzików pod szyją.

- No, teraz lepiej? - zapytał Dusty, pomagając jej wyjść z samochodu.

- Musisz to mieć na nosie? - Dusty wskazała palcem okulary.

John wzruszył ramionami i schował okulary do drugiej kieszeni.

Dusty cofnęła się kilka kroków i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakim zwykle oceniała jego projekty. W końcu zdjęła kapelusz i umocowała go na głowie Johna.

- I tak jest na mnie za duży - wyjaśniła. - Wiesz o tym, że po każdym trzecim tańcu wybierają panie? Kobieta, która o tym wie, powinna zawnoczu mieć swego partnera na oku. A ty powinienes stać przy drzwiach. Będiesz miał większe wzięcie.

- Myślałem, że sprzyjasz knowaniom Wandy.

- Owszem, wciągnęła mnie w swój plan. Chciała, żebyś w ten wieczór mógł się rozerwać i pobawić inaczej niż zwykle. Założę się, że nigdy nie przetańczyłeś całej nocy, otoczony gromadą pięknych kobiet.

- A ja się założę, że nie taki cel miała moja żona.

- To niespodzianka. Może będzie miała nauczkę, że niektóre pomysły bywają ryzykowne.

- Cieszę się, że jesteś po mojej stronie. Sama widzisz, na co mi przyszło.

- Nie martw się, chłopie! Oboje macie ciężki orzech do zgryzienia, ale mała zmiana nie zaszkodzi ani tobie, ani jej. Powiedzmy, że po trochu jestem po stronie każdego z was.

Lokal okazał się dokładnie taki, jak go sobie wyobrażał. Na podłodze - resztki siana, na ciężkich drewnianych stołach - kufle piwa, pomiędzy gośćmi - kelnerki przebrane za kowbojki. Odpowiedniej atmosfery dodawały wewnątrz lampy ścienne z jelenich rogów. Reszta wystroju całkowicie nie pasowała do wiejskiego stylu - owalny bar i parkiet oświetlały teatralne reflektory, a zewsząd biła nieznośnie głośna muzyka.

Cała czwórka siadła za stołem, na którym stało kilka pustych kufli i talerz z ogryzionymi po żeberkach kośćmi.

- Nie zapomnij ze mną zatańczyć! - krzyknęła do Johna Dusty, zanim Charlie porwał ją na parkiet.

John jednak wcale nie miał zamiaru tańczyć. Po pierwsze, nie miał pojęcia, co też za taniec tańczyli ludzie na parkiecie. Znał fokstrotę i walca, ale to, co zobaczył w „Lone Ranger's”, wyglądało raczej na jakieś plemienne tańce dzikich. Nie miał za to nic przeciwko muzyce. Był nawet zadowolony, że jest za głośna i że mogą z Wandą siedzieć tylko i słuchać. Jej jednak to nie wystarczało. Szturchnęła go ramieniem i skinęła głową w kierunku parkietu.

- To taniec na dwa! - krzyknęła.
- Nie słyszę cię! - Z uśmiechem pokręcił głową.
- Na dwa! No wiesz! - Pokazała palcami takt.
- Ach, na dwa! Rozumiem!

Wstała i wyciągnęła dłoń, lecz on znowu pokręcił głową.

- Nie lubię tańców na dwa!

Wanda opadła z powrotem na krzesło i skrzyżowała dłonie na piersi. John tymczasem uśmiechnął się i podniósł kufel w stronę przechodzącej obok kelnerki.

Wysoka brunetka natychmiast podeszła do stołu. Miała na sobie obcisłe džinsy, jak Wanda, jej włosy były tak samo długie, tylko bluzkę miała jeszcze bardziej rozpiętą.

- Przyniesiesz nam piwa, kiciuś? - zagadnął i mrugnął do niej okiem.
- Przekażę zamówienie Ruby. Ona obsługuje ten stolik. A na razie może zatańczymy?

Orkiestra właśnie skończyła utwór i zaczęła grać nowy, wolny, którego rzewne nuty rozbrzmiewały na sali ciemniejszej nagle od przytłumionych świateł.

- To jeszcze nie jest damski taniec. - Wanda zmarszczyła brwi i zadarła gniewnie brodę.

- Tak, ale ja nie przejmuję się regułami, kowboju - odparła brunetka, nie odwracając spojrzenia od Johna. - Jak ci na imię?

- Ten pan nie tańczy! - powtórzyła groźnie Wanda.
- W porządku. To walc. Lubię tańczyć walca... - odparł John i dał się zaprowadzić na parkiet. Tańcząc, starał się trzymać z boku czarnowłosej i raz po raz spoglądał na Wandę, upewniając się, czy go widzi.

Widziała. I kipiała ze złości.

Kiedy wrócił wreszcie do stolika, udała, że go nie zauważa.

- Od kiedy to jesteś miłośnikiem country? - zapytała tylko.
- Co? Nie słyszę cię! - John próbował przekrzyczeć muzykę.
- Ją słyszałeś, tylko mnie nie.
- Co z tym piwem? Ta Ruby chyba nigdy już tu nie przyjdzie.

Poczekaj, sam przyniosę. - Uniósł puste kufle i szybko poszedł do baru.

Po powrocie chciał wznieść toast, lecz konferansjer zapowiedział kolejny utwór - „biały taniec” - i John uśmiechnął się porozumiewawczo do żony.

- Teraz panie proszą panów - powiedział.
- I co z tego?
- Nie zamierzasz wybrać sobie partnera do tańca?
- Myślisz, że wybiorę ciebie?
- A nie? To nasza pierwsza randka. Proszę, spróbuj.
- To taniec na dwa. Nie lubisz takich.
- Nie musisz tańczyć na dwa, jeśli nie chcesz, kowboju - wtrąciła się inna dziewczyna, tym razem ruda jak ogień. - Pokażę ci inny krok.
- Wando? - John uniósł brwi.
- Wygląda na to, że masz dzisiaj wzięcie. Nie krępuj się, kiciuś - zwróciła się do dziewczyny z jadowitym uśmiechem.

John wstał i zanim kolejny raz odszedł na parkiet, nachylił się do ucha żony, żeby szepnąć:

- To pewnie z powodu tego stroju.

Minęły cztery kolejne piosenki, a John nie wracał. Wciąż był na parkiecie i coraz sprawniej poruszał się w tanecznych podrygach. Gdy którymś z rzędu razem rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku stolika Wandy, nie dostrzegł jej przy nim. Szybko rozejrzał się po sali i kątem oka dostrzegł, że jego żona właśnie wychodzi na zewnątrz. Nie czekając do końca urworu, podziękował partnerce - niebieskookiej blondynie - i pobiegnął za nią.

- Wando!

Nie odpowiedziała, tylko szybko szła do ciężarówki.

Zdażył wskoczyć do środka na ułamek sekundy wcześniej, zanim nacisnęła na gaz. Wiedział, że powinien milczeć, więc nie odzywał się, obserwując jedynie drogę. Wanda była wściekła. Miała zacisnięte usta i napięte mięśnie twarzy. Dłonie tak mocno zaciskała na kierownicy, że

pobielają jej stawy. Aha, zazdrosna, pomyślał.

- Policja nie daje tutaj mandatów za przekraczanie prędkości? - odezwał się wreszcie.

- Ja nie przejmuję się regulami, kowboju - odparła złośliwie.

- No dobrze. Dokąd jedziemy?

- Ja nad rzekę, a ponieważ ty też tu jesteś, więc podejrzewam, że jedziemy w to samo miejsce.

Reszta drogi upłynęła w milczeniu. W końcu Wanda zjechała na trawę i nacisnęła hamulec. Przez okno widać było połyskujący w świetle księżycyca, powolny nurt rzeki. John odkręcił szyby i zaczął wsłuchiwać się w kojącą uszy muzykę świerszczy i żab. Przypomniawszy sobie, że chciał znaleźć romantyczne miejsce na wieczorny spacer z żoną, a tu proszę - Wanda sama rozwiązała ten problem. Niestety, nie była w romantycznym nastroju.

- Przykro mi, że wieczór w stylu country się nie udał. Nie taką pikanterię miałas na myśli, prawda? Nie martw się. Jutro możemy spróbować jeszcze raz.

- Po co? Zrobiłaś mi na złość.

- Co takiego? To ty specjalnie wprowadziłaś mnie w błąd.

Zasugerowałaś kolację, a potem zaciągnęłaś do jakiejś stajni. I to niby ja jestem winien!

- Sprawiałaś wrażenie bardzo rozbawionego tą sytuacją. Ktoś chyba nalał szaleju do twoich trzewiczków.

- Wando, nie bądź zazdrosna.

- Zazdrosna? - parsknęła Wanda. - Ja jestem wściekła! Trzy tańce pod rząd z tą rudą! I ani jeden z nich nie był walcem!

- Nie pieklij się. Ona była właścicielką tej knajpy. Rozmawialiśmy o interesach. Opowiedziała mi o remoncie, który chce przeprowadzić, a ja podsunąłem jej kilka pomysłów. W przyszłym miesiącu mamy się spotkać... oczywiście w sprawach zawodowych.

- Ach tak! Załatwiłaś interesy. Czy poprosiłaś ją o wypisanie rachunku, który mógłbyś odliczyć od podatku?

- Wando - odezwał się pojednawczo. - Ty naprawdę jesteś jak tajfun. A przecież moglibyśmy porozmawiać o czymś innym. Na przykład o... księżycu.

- Nie ma pełni.
- Przykro mi, Wando.
- Powinno być ci przykro.
- W tym stroju czułem się jak kwiatek u kozucha. No i nie znałem tych kowbojskich tańców. Dla niektórych kobiet byłem widocznie czarujący, ale przecież wiesz, że nikt nie znaczy dla mnie tyle co ty.

W oczach żony dojrzał znajomy błysk. Oho, dobra nasza! Kuj żelazo póki gorące, Rocko, pomyślał i przesunął wolno palcami po linii jej ust.

- Cały wieczór mnie lekceważyłeś - odezwała się z wyrzutem, ale już łagodniej.

- Już ci powiedziałem: ja nigdy cię nie lekceważę. - Wciąż nie przestawał pieścić jej ust. - Myślę o tobie nawet w biurze...

Nagle odepchnęła jego dłoń i wcisnęła się w kąt kabiny, zirytowana zapewne, że znowu wspomniał o pracy.

- Nie lekceważysz mnie, tak? - sapnęła ze złością. - To zamknij oczy.

- Znowu?
- Tak, znowu. No więc, co mam na sobie?
- Kowbojski strój.
- Wspaniale. Jaki to strój? Tylko nie podglądaj.

John westchnął głęboko. Czy naprawdę miał pamiętać wszystkie szczegóły? Wiedział tylko, że Wanda zrobiła na nim ogromne wrażenie.

Po omacku wyciągnął dłoń.

- Hej! - zaprotestowała, ale tym razem nie odepchnęła jego ręki.

Dotknął Mana Wandy i powoli zaczął przesuwać palce w górę.

- Masz na sobie dzinsy - powiedział. - Bardzo obcisłe. - Dotarł do ud, a potem do miejsca, w którym się łączyły. - Bardzo obcisłe dzinsy... - powtórzył, masując delikatnie jej łono. Przycisnęła gwałtownie jego dłoń i z radością usłyszał jej nieregularny oddech. - Masz też bardzo cienką bluzkę - zaczął wędrować wyżej - rozpiętą przy szyi... - wyszeptał, odpinając kolejne guziki.

- John... - jęknęła niemal niesłyszalnie.

- W porządku, kotku. Wciąż mam zamknięte oczy. Nie podglądam. - Wsunął rękę pod bluzkę i dotknął miękkich piersi. Ścisnął lekko, a wtedy Wanda jęknęła rozkosznie. - Nie masz stanika... Nigdy go nie

nosisz... - Nie dokończył, gdyż zaraz potem nachylił się i zaczął całować nabrzmiąle oczekiwaniem piersi. Wolałby to robić na wielkim hotelowym łóżu, ale nie mógł się już doczekać.

Serce waliło mu głośno, a jego podbrzusze było coraz bardziej napięte. Nigdy dotąd nie kochał się z Wandą w samochodzie, ale doszedł do wniosku, że kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Pieścił ją długo, aż wreszcie jego głowa spoczęła na jej łonie i poczuł ciepłą woń kobiecego ciała, wymieszaną z zapachem perfum.

- Teraz, Wando. Tu... i teraz!
- Tak, Johnie!

Zesztywniała z rozkoszy, a wtedy ciężarówka drgnęła i zaczęła staczać się do tyłu. John uderzył głową w kierownicę i upadł na podłogę. Szybko podniósł się, spojrzał na Wandę.

- Są rzeczy, których nigdy nie robię na pierwszej randce
- wycedziła, łapiąc za ręczny hamulec. - Dlatego tu i teraz mówię:

**NIE!**

John stał obok swego samochodu i odprowadzał wzrokiem odjeżdżającą Wandę. Był wściekły i sfrustrowany. Zaciśnął pięści i uniósł je w powietrze. Chciał krzyczeć, przeklinać, chciał...

- Uch! - warknął przez zaciśnięte zęby i pogroził niebu.
- Uch! - krzyknął głośnie i kopnął oponę hondy.

Natychmiast poczuł przeszywający ból w stopie. Oparł się o maskę i pomasaował obolałe miejsce; Dlaczego tym razem jego normalna taktyka skończyła się fiaskiem? Wanda była przecież taka podniecona... a potem w mgnieniu oka stała się zimna jak skała. Czyżby był zbyt natarczywy?

Być może, odpowiadał sobie pół godziny później, już w hotelowym apartamencie, który wynajął, by zakończyć w nim wieczór z Wandą. Może na pierwszej randce nie powinien się zachowywać jak Casanova, który chce pobić rekord prędkości w uwodzeniu. Wściekła, zazdrosna kobieta nigdy nie zgodzi się na miłość w ciężarówce, bez względu na to, jak szerokie byłyby w niej siedzenia. Pierwsza miłość wymaga odpowiedniej oprawy - delikatnych świateł, szampana i prawdziwego łóżka. W apartamencie, w którym tkwił właśnie sam jak palec, było wprawdzie wielkie łóżo, ale cóż po nim teraz, kiedy Wanda zostawiła go i dmuchnęła tylko spalinami w nos na pożegnanie. Nakrył się kołdrą po



samą głowę i spróbował pocieszyć zatroskane serce. Jutro znowu umówimy się na randkę, myślał, i tym razem Wanda nie będzie robić żadnych sztuczek. Sama obiecała

Była prawie druga w nocy. Wanda siedziała na środku łóżka w gościnnym pokoju siostry. Na sobie miała jeden z trzech podkoszulków Johna, których nie odesłała mu do biura. Dłońmi objęła kolana i próbowała wytłumaczyć sobie jego zachowanie.

Kiedy jej dotykał, cała była drżeniem i oczekiwaniem. Doskonale wiedział, jak ma całować ją i pieścić, żeby doprowadzić ją do szaleństwa, a ona wiedziała, czym skończyłyby się pieszczoty w ciężarówce, gdyby go nie odepchnęła. Zrobiła to, bo nie była zabezpieczona. A mimo iż bardzo pragnęła zająć w ciążę, nie potrafiłaby oszukać Johna. Musiał najpierw zgodzić się na dziecko i przygotować na ojcostwo.

Tak zatem Wanda cieszyła się, że pieszczoty nie posunęły się dalej. Jutro jednak czekała ją kolejna randka. Do tego czasu musi wymyślić jakąś skuteczną strategię, na wypadek gdyby mąż znów zechciał ją zmiękczyć.





## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie robiłam tego od wieków - powiedziała Wanda, splatając palce z palcami Johna. Spojrzała na krzewy magnolii, które rosły wzdłuż parkowej ścieżki. Ich zielone liście ostro kontrastowały z czerwonożółtymi liśćmi klonów.

Popołudniowe słońce biło w oczy złocistymi promieniami. Za kilka godzin złota kula miała rozplynać się nad horyzontem pomarańczowo-purpurowymi smugami. Teraz mogli korzystać z ostatnich promieni i jeszcze jakiś czas cieszyć się słońcem.

Niedziela w parku z Johnem - cóż za genialny pomysł!

Spacer nie wymagał żadnej rezerwacji, planowania ani innych uciążliwych schematów. Był czystą przyjemnością i rozkoszą bycia we dwoje.

- Zimno ci? - Widząc, że zadrzała od gwałtownego podmuchu wiatru, John otoczył Wandę ramieniem. - Możemy już wracać, jeśli zmarzałaś.

Pokręciła głową, udając, że nie dostrzega nuty nadziei w głosie męża. Nie chciała, żeby wiatr popsuł tę romantyczną randkę w ulubionym parku. Jako dziecko Wanda często przychodziła tu z matką i z Dusty. Ojciec nigdy nie przyłączał się do rodzinnych spacerów. Ciągłe był zapracowany, a nad życie rodzinne przedkładał obowiązki. Fakt, dzięki jego pracy rodzina wspięła się wprawdzie w społecznej hierarchii, ale Wanda szybko uświadomiła sobie, że ojciec bardziej pracuje dla siebie niż dla rodziny. Jak więc żył, tak umarł - przy biurku podczas przyjęcia, wydanego z okazji przejścia na emeryturę.

Niestety, John coraz bardziej upodabniał się do ojca. Dlatego właśnie robiła to wszystko. Chciała wyleczyć go z pracoholizmu, zanim będzie za późno. Teraz miała nadzieję, że ten romantyczny, niespieszny spacer otworzy mu wreszcie oczy na to, co traci, przesiadując całymi dniami zamknięty w swoim biurze.

Na piknik Wanda przygotowała jego ulubione potrawy. Pogoda

również sprzyjała spacerowi, chociaż robiło się chłodno. Do pełni szczęścia trzeba było tylko znaleźć odpowiednie miejsce na rozłożenie koca.

- Tam! - powiedziała nagle, wskazując palcem słoneczną łączkę. - Tam rozłożymy koc.

Kilka innych par również wpadło na ten sam pomysł, na trawie mieniły się więc wzorzyste koce, a w powietrzu unosiły radosne śmiechy. Sceneria przypominała pamiątkowe zdjęcie z rodzinnego albumu. Patrząc na ojców, bawiących się w berka z synami, na matki, przytulające do piersi niemowlęta, i na za-chłyśnięte rozległą przestrzenią, rozbiegane psy, Wanda uśmiechnęła się do siebie z rozmarzeniem. Ścisnęła mocniej ramię Johna, lecz on nie ruszył się z miejsca.

- Tam jest pełno ludzi - powiedział tylko sceptycznie.

- Wcale nie - odparła i pociągnęła go na siłę.

- Straszny harmider.

- No chodź - poprosiła.

- I nie ma stołów - narzekał. - Nie mogę jeść na ziemi, bo zaraz zdrętwieją mi nogi.

- A jak myślisz, gdzie oni wszyscy jedli?

- Na ziemi? W taki chłód żaden normalny człowiek nie odważyłby się siąść na gołej ziemi.

Wanda nie skomentowała tej uwagi. Poszła w stronę polanki, rozłożyła koc i zaczęła wyjmować jedzenie z koszyka. Najpierw kurczaka, którego upiekła rano, potem pojemniczek z sałatką ziemniaczaną, jeszcze ciepłe bagietki, a wreszcie talerzyk z czekoladowym ciastem. Nie czekając na Johna, usiadła i zabrała się do jedzenia.

Po chwili John nachylił się nad nią i zaczął kołysać się na wietrze jak młode drzewko.

- Mmm... Pyszne... - Wanda poklepała wolne miejsce na kocu.

Zgiął się w pół i niezdarnie usiadł obok żony.

- Masz coś do picia? - zapytał, nałożywszy sobie na talerz sporą porcję kurczaka.

- Mhm. Gorącą kawę. Jest w termosie. Postawiłam go na rogu, żeby

wiatr nie podwiewał koca.

- Ale nie zabezpieczyłaś go przed mrówkami - zauważył uszczypliwie.

Wanda przestała jeść, zamknęła oczy. Wiedziała, że piknik natychmiast się skończy, jeśli John zauważy na kocu choćby jedną mrówkę. Miała nadzieję, że pocziwe owady nie zepsują jej zabawy.

Spojrzała na Johna, który coraz łapczywiej wgryzał się w mięso. Z satysfakcją zauważyła, że na jego ustach z wolna pojawia się uśmiech. Po krótkiej chwili delektowania się jedzeniem zerknął jednak nerwowo na zegarek.

- Ustalmy pewne reguły, John - zareagowała natychmiast, rzucając mu srogie spojrzenie. - Podczas pikniku ani razu nie spoglądasz na zegarek!

- Niech będzie - odparł z lekką nonszalancją.

- Zdejmij go. - Wyciągnęła dłoń. PO chwili wahania John odpiął pasek i wręczył zegarek Wandzie. - I nie krzyw się. Nie amputuję ci ręki, tylko dla naszego dobra pozbawiam cię uciążliwego urządzenia.

A jednak, mimo że już bez zegarka, John ciągle sprawiał wrażenie podenerwowanego i rozkojarzonego. Nagle zacisnął usta i zmarszczył brwi. Wanda niemal widziała, jak gorączkowo pracuje jego mózg.

- John, czym ty się znowu przejmujesz? Nawet nie próbujesz się odprężyć.

- Nie, to tylko...

- Jackson? - dokończyła. I już miała zrobić kolejny wykład na temat stresu jako głównej przyczyny zawałów i nowotworów, kiedy nagle olśniło ją: może jeśli okaże zainteresowanie mężowskimi problemami, John wyrzuci z siebie wszystkie troski i rozluźni się wreszcie. - Podejrzewam, że Jackson odrzucił twój kolejny projekt, czy tak? - zapytała niepewnie.

- To nie byłoby jeszcze najgorsze. Już wielokrotnie odrzucał moje propozycje. Problem w tym, że tak naprawdę nie mam pojęcia, czego on ode mnie oczekuje. Ciągłe zmienia zdanie jak...

- ...jak kapryśna kobieta? - Wanda dokończyła za Johna i uniosła brwi. - Skoro Jackson zachowuje się jak kobieta, to może ja jako kobieta podrzuciłabym ci jakiś pomysł?

- Wątpię.

Ta uwaga ścisnęła ją za gardło. Wanda uświadomiła sobie, że reakcja Johna bardziej obnaża jego słabości niż przekonanie o użyteczności własnej żony. Wiedziała, że oferowanie pomocy było dla Johna równoznaczne z krytyką jego pracy. Już od dawna nie konsultował z Wandą swoich pomysłów. A odkąd przestał z nią na ten temat rozmawiać, zaczął projektować pudełka, a nie architektoniczne bryły.

No cóż. I tak nie pozwolę mu popsuć naszej randki - pomyślała i rozejrzała się wokół siebie, usiłując znaleźć jakiś inny temat do rozmowy.

- E, machnij na to ręką, John. Popatrz lepiej na ten park... Jaki on piękny. Nie możesz zaprzeczyć, że jest wspaniały. - Powiodła wzrokiem po okolicy. - Drzewa szumią, słońce przygrzewa i w ogóle jest tak, tak...  
- zatrzymała się w pół zdania, widząc, że John znów zaczyna się wiercić.  
- John? Przestań, proszę. Wyglądasz, jakby cię torturowano.

- Mam za długie nogi, Wando - jęknął skruszony. - Jest mi niewygodnie. Nie wiem, jak ludzie mogą siedzieć na trawie od piątej do ósmej.

- Może byłoby ci wygodniej, gdybyś nie miał na sobie tego biurowego ubranka? - Wskazała palcem szare spodnie, błękitny płaszcz i białą koszulę.

- To nie jest biurowe ubranko. Nie mam krawata.

- W każdym razie nie jesteś odpowiednio ubrany na piknik.

- Kiedy pędziłem tu wczoraj z Waszyngtonu, nie w głowie mi był jakiś piknik.

- A kto ci kazał pędzić?

- Jak to kto? Przyjechałem do domu, który nie był już domem.

Sytuacja była alarmowa. Dlatego się śpieszyłem. Jeśli chcesz, możesz mi wypisać mandat za nieodpowiedni strój na piknik.

Za szklami okularów Johna Wanda dostrzegła złość. Wyciągając go do parku, chciała wzbudzić w nim jakieś odczucia, ale na pewno nie miała zamiaru go zdenerwować.

- Nie kłóćmy się. Cieszymy się wspólnie tym dniem.

- Okay, cieszymy się - bąknął John i chwycił kolejny kawałek kurczaka. - Cieszymy się wspólnie - powtórzył, przeżuając.

- John - Wanda znów zaczęła tracić nadzieję. - Ja tylko chciałam... Można by pomyśleć, że urodziłeś się w garniturze. Nigdy nie zakładasz dżinsów, miałeś kiedyś jedną parę, ale chyba zgniła w szafce. Zawsze jesteś taki oficjalny i...

- Dzisiaj nie - przerwał jej. - To wczorajszy dzień był dla mnie oficjalny.

- Wczoraj przynajmniej zdjąłeś marynarkę.

- Bo nie bawiłem się na pikniku przy jedenastu stopniach powyżej zera.

- Nie jest wcale jedenaście, ale siedemnaście, poza tym świeci słońce. To tylko wiatr sprawia, że czasem robi się chłodno. Chcesz? Jeśli ci zimno, to naleję ci kawy.

Napełniła filiżankę do pełna i wyciągnęła ją ku niemu. John wziął ją w dłoń, podparł się niezgrabnie, a wtedy brązowa ciecz zakołysała się i rozlała, plamiąc wszystkie części jego garderoby.

Spojrzała na niego - cierpiał. I to z jej powodu.

- Podwiń rękaw... Jest całkiem mokry. Ojej, i twoje spodnie. - Posługując się suchym rękawem płaszcza, wytarła mu nogawkę. - Chcesz jeszcze kurczaka? - spytała, widząc, że nadal siedzi nieruchomo jak kamień.

- Dziękuję, wolę... Posłuchaj, Wanda, chodźmy stąd, zanim stanie się coś gorszego.

- Nie przesadzaj. Co jeszcze może się zdarzyć? - zapytała, ale szybko zdała sobie sprawę, że powiedziała to niepotrzebnie.

W ostatniej chwili dostrzegła zbliżający się niebezpiecznie latający talerz, wypuszczony z dłoni jakiegoś dzieciaka. Próbowwała jeszcze się uchylić, ale nie zdążyła i dysk wylądował z impetem na jej nosie, odbił się i wpadł prosto w ciasto. Po chwili za talerzem rzucił się w podnieceniu wielki brązowy pies.

Wskoczył na koc, zdeptał ciasto, machając ogonem przy twarzy Wandy, i węszył teraz w poszukiwaniu latającego krążka.

- Tato! Ja chcę mój talerz!. - krzyknął nad ich głowami nieszczęśliwy czterolatek.

Wanda wyłowiła talerz z czekoladowej masy, którą zaczął już pałaszować pies, i wyciągnęła go w stronę malca.

- Jest brudny - burknął obrażonym tonem, odszukała więc w koszyku serwetkę, wytarła nią zabawkę i podała chłopcu.

- No, uciekaj już - powiedziała, ale chłopiec nie ruszył się z miejsca. Pod jego natarczywym spojrzeniem poczuła się nieswojo. - Aaa! - wrzasnęła, robiąc przeraźliwą minę i dopiero to poskutkowało.

- Mama!!! - rozdarł się chłopiec i co sił w nogach popędził do rodziców. Zanim pies podążył za swoim panem, zdążył podeptać Wandzie spodnie i zgnieść pojemnik z sałatką, którego zawartość prysnęła jej na bluzkę,

- Ach te psiaki - odezwał się John z udanym pobleżaniem.

- Nie ma nic przyjemniejszego niż dzieci i psy, nieprawdaż?

- Nie możesz tak mówić na podstawie jednego chłopca i jednego psa. Daj mi lepiej coś, czym mogłabym się wytrzeć.

- To będzie problem, Wando. Pies zjadł wszystkie serwetki, a moje spodnie i marynarka i tak są już całe w czekoladzie.

- Uniósł róg koca. - Masz, może tym?

Oczywiście w tej samej chwili przewrócił się termos i teraz na kocu rosła szybko czarna mokra plama. John porwał z kałuży swój zegarek i przyłożył go do ucha.

- Chodzi? - zapytała cicho, choć domyślała się odpowiedzi. Cóż, kolejna katastrofa. Chciała dać mężowi posmak rodzinnych rozrywek na świeżym powietrzu, a wyszło z tego...

Ech, szkoda gadać.

W ostatniej chwili powstrzymała się od płaczu i przełknęła łzy.

- Zgoda. To był głupi pomysł, ale pomyślałam, że taki dzień też może ci się przydać.

- Ooo! Naprawdę się przydał. Uwierz mi. - John zmrużył oczy i spojrzał na Wandę. - Czy zrobiłaś jakieś rozeznanie, zanim mnie tu przyprowadziłaś?

- Rozeznanie?

- No tak. Rozeznanie, rozpoznanie, nazywaj to jak chcesz. Chodzi mi o to, czy sprawdziłaś ten park pod kątem wrzeszczących niemowląt, rozwydrzonych dzieciaków... psów...

Wanda poczuła, że krew uderza jej do głowy. Teraz jeszcze trudniej było jej powstrzymać łzy. Policzyła do dziesięciu, ale i tak nie zdołała



zwalczyć intensywnego rumieńca na policzkach.

Jak on śmie? Przyprowadziła go tutaj, żeby ratować ich małżeństwo. Czy ten baran tego nie rozumie?

Wrzuciła do koszyka talerz po sałatce, potem resztki kurczaka i niedojedzoną bagietkę. Na koniec uniosła zmiażdżone ciasto i zawiesiła rękę w powietrzu.

- Może deser? - zapytała i cisnęła talerzem w twarz Johna, po czym wstała i z całych sił szarpnęła kocem, tak że machnął nogami i przewrócił się do tyłu. - Ogłaszam randkę za zakończoną! - oświadczyła. - Jeśli można cię prosić, weź termos -dodała i odmaszerowała w stronę samochodu.

Nie odwróciła się, żeby sprawdzić, czy za nią idzie, zwolniła jednak kroku, by mógł ją dogonić.

Dogonił. Zatrzymał się i stanął przed nią tak blisko, że prawie uderzyła twarzą w jego szeroką pierś, która robiła wrażenie nawet pod tą konserwatywną białą koszulą. Przez długą chwilę wpatrywała się w ten tors, aż w końcu podniosła wzrok i spojrzała mężowi w oczy.

- Jak tam nos? - zapytał.

- Lekko się przestawił. Jak wygląda?

- Jak wyzwanie dla amatora chirurgii plastycznej. Wanda stłumiła w sobie gniew i dała się pogłaskać po obolałym miejscu. Na szczęście nos nie był złamany.

- Mam nadzieję, że wczorajszy i dzisiejszy dzień naprawdę nauczyły cię czegoś - powiedział.

- Na przykład?

- Na przykład tego, że cały ten pomysł z randkami jest bezsensowny i...

- Bezsensowny?

- ...i że lepiej z nim skończyć, zanim narobimy sobie więcej kłopotów.

Wanda sapnęła. Ze złości miała ochotę krzyczeć. John stał z założonymi na piersi rękoma i miał niewzruszony wyraz twarzy. W ogóle wydał się jej niewzruszony jak skała. Chciała nim potrząsnąć i spowodować, żeby zrozumiał wreszcie, o co jej chodzi, lecz wiedziała, że wszystkie podobne próby nic już nie dadzą.



Przypomniała sobie powiedzenie babci: „Przerażonego kota nie wolno strząsać z drzewa. Należy je albo ściąć, albo wdrapać się i ściągnąć go na ziemię.” Jako że wszystkie metody zawiodły, postanowiła zdać się na zalecenia babci.

- John, kocham cię - szepnęła. - Nie chcę cię stracić, ale wydaje mi się, że gdzieś mi się wymykasz, że nasze drogi się rozchodzą...

- Bzdura. Czy to ja cię opuściłem? Czy to ja stosowałem różne sztuczki, czy to ja cię obraziłem?

- Nie o to chodzi. Czuję, że tracę mężczyznę, za którego wysłałam za mąż. Tego jasnookiego idealistę, niepokornego człowieka, który rzucał wyzwanie całemu światu.

- Ojej, Wando! Ja po prostu dorosłem. Nie można całe życie wyjmować cegieł z muru, bo w końcu się rozsypie. Każdy mężczyzna w jakimś momencie budzi się i dochodzi do wniosku, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, musi iść z prądem, a nie pod prąd. Właśnie takim mężczyzną jestem ja. Ja buduję... Stawiam sobie poprzeczkę...

- Stawiasz ją zbyt wysoko, John. Jesteś jak chomik, który biega w kółku. Widzisz tylko to, co przed tobą, nie zdając sobie sprawy z tego, że niczego więcej już nie osiągniesz.

- Nieprawda. Robię to tylko po to, żeby zabezpieczyć się na przyszłość.

- Nie. Robisz to, bo masz takie, a nie inne wspomnienia z dzieciństwa. Za wszelką cenę chcesz być inny niż twój ojciec.

John zeszywniał i napiął mięśnie twarzy. Po chwili parsknął i odrzucił do tyłu głowę. Wanda wyczuła w tym geście chęć odrzucenia wspomnień. Po jakimś czasie z jego twarzy zniknęło napięcie, ale w oczach nadal czaił się smutek.

- Mój ojciec był długowłosym hipisem z gitarą, który żył jak Cygan. Czasami zajeżdżał do domu i zostawiał mi kieszonkowe. Nigdy do końca go nie poznałem.

- I nigdy nie będziesz taki jak on, za to coraz bardziej przypominasz mojego ojca. - Wanda poczuła, że do oczu napływa jej kolejna fala łez. Odwróciła twarz.

- Twój ojciec zrobił kawał dobrej roboty. - John pogłaskał ją po włosach. - Ciężko pracował, utrzymywał rodzinę...

- Zostawił nas - szepnęła, kręcąc głową.

- Umarł, nie zostawił. To różnica.

- Jego obsesją była praca. To samo jest z tobą. Ty też się ode mnie oddalasz. Przerwij tę chorą nić, zanim będzie za późno. - Wanda zamilkła. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Czekwała z nadzieją, że John wreszcie zrozumie jej intencje.

On jednak przechylił tylko głowę i wydał usta.

- Przesadzasz.

Po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Szybko wytarła je dłonią i wrzuciła ramionami, jakby chciała strzepnąć złe emocje. Po chwili zaczęła iść szybko w stronę kępy drzew.

- Hej, nie tędy przyszliśmy! - John podbiegł do niej i zatarasował przejście. - Przecież tu nie ma żadnej ścieżki.

- To droga na skróty.

- Jesteś pewna? Wygląda, jakby nikt nią od lat nie chodził.

- Proszę cię, John. Wiem, dokąd idę. Wydeptaliśmy tę ścieżkę z Dusty, kiedy byliśmy jeszcze dziewczynkami.

- A więc miałem rację. Nikt nią od lat nie chodził.

Nie odezwała się, choć mimo wszystko miała satysfakcję, że John poszedł za nią. Po dwudziestu minutach znaleźli się na brzegu zarośniętego liliami wodnymi stawu. Kilkadziesiąt metrów dalej był drugi. Dziwne, nie rozpoznawała tych miejsc. Zaczęła się zastanawiać, czy może usunięto parkową bramę, którą pamiętała z dzieciństwa. A może po prostu zabłądziła?

Opanowało ją zwątpienie, lecz nie miała zamiaru się do niego przyznać. Jak gdyby nigdy nic, zdecydowała się iść dalej. Była przekonana, że prędzej czy później trafi na jakiś charakterystyczny szczegół, który rozpozna.

- Kiedyś był tutaj mostek, łączył te dwa stawy. Za tym drugim będzie widać wyjście - odezwała się, markując niepewność.

Dróżka usłana była omszałymi, śliskimi kamieniami. Potykając się o nie, poszła naprzód i po kilkudziesięciu metrach brnięcia przez coraz gęstszy las wyszła wreszcie na trawę. Niestety, ulga nie trwała długo. Pod zielonymi kępami chlupała woda. Stali na bagnie.

- Zgubiłaś się, Wando - oświadczył John. Poczwała na szyi jego ciepły

oddech i zadrżała. Zachwiała się, ale szybko wróciła do pionu. - Nie bój się - uspokoił ją. - Przy wejściu do parku kupiłem mapę - dodał, rozwijając wielką płachtę papieru. - Według niej wyjście jest po wschodniej stronie, czyli tam. - Machnął palcem przed nosem Wandy.

- Miałeś ją przy sobie przez cały czas? I pozwoliłeś, żebym błędziła po tym grzędzawisku?

- Upierałaś się, żeby iść twoim skrótem. Poza tym nie wiedziałem, jak długo błędzimy. Pamiętaj, że mój zegarek...

- Aha! - Wanda miała ochotę rzucić czymś w Johna, lecz nie znalazłszy niczego ciężkiego, zacisnęła tylko pięść i zamachnęła się potężnie.

John uchylił się w bok i uniknął ciosu, stracił jednak równowagę. Zamachał w powietrzu rękami, szukając oparcia, a nie znalazłszy go, runął do tyłu. Wanda zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, spodziewała się ujrzeć go tkwiącego po szyję w błocie. Ale nie - John siedział na ziemi. W jego butach pochłupywała zielonobrazowa maź.

- Bardzo głęboko? - zapytała.

Nie odpowiedział. Dźwignął się, żeby wstać, ale znowu poślizgnął się i upadł.

- Mam ci podać rękę?

- Nie. Już lepiej nic nie rób. - Spojrzał na nią tak, że aż ją zmroziło. Odwróciła się plecami i spuściła głowę. Kiedy wreszcie John wstał, zwróciła się ku niemu i chciała przeproszać, ale nie dał jej szansy. - Idźmy - powiedział.

- Nie. Jesteś zły. Nigdzie z tobą nie pójdę, dopóki jesteś zły. John zatrzymał się i odwrócił twarzą do Wandy.

- Nie jestem zły. Jestem mokry.

- Przecież widzę, że jesteś wściekły.

- W porządku. Zastań sobie tutaj. Ja idę. Jeśli zmienisz zdanie, mogę cię podrzucić do Dusty. Najpierw jednak przebiorę się w motelu - oświadczył i odszedł.

Wanda szybko podążyła za nim.

- Dlaczego nie chcesz najpierw mnie odwieźć?

- Bo motel jest bliżej.

- W okolicy wynajmują pokoje tylko na godziny.
- Bardzo dobrze. Nie planowałem długiego pobytu. Twój pomysł z randką w parku był dla mnie zaskoczeniem.
- Nie wątpię. Myślałeś pewnie, że przyjedziesz tu, przerzucisz mnie przez ramię i wsadzisz do samochodu, żeby odwieźć do Waszyngtonu, prawda?
- Mniej więcej - odparł i zaczął wspinać się na porośnięte gęsto wzgórze, które wyrosło nagle przed nimi.

Wzgórze okazało się bardziej strome, niż można było z początku sądzić. Zanim Wanda wdrapała się na szczyt, na jej twarzy pojawiły się wypieki i zaczęły ją boleć nogi. Miała nadzieję, że ta wspinaczka ugasi przynajmniej gniew Johna. Nie wiedziała tylko, jakie uczucie pojawi się w miejsce złości. Gdy już na górze zajrzała mu w oczy, nie potrafiła z nich niczego wyczytać.

Chociaż nie! John się uśmiechał!

- Przepraszam, John - powiedziała, dysząc po wysiłku.
- Ostatnio często powtarzasz to słowo.
- Bo widzisz...
- Posłuchaj, kochanie - przerwał, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Nie mogę tutaj stać i dyskutować, bo za chwilę na moim przemoczonym ubraniu zaczną wyrastać roślinki. Wybieraj, co wolisz - mnie czy mutanta?
- No dobra. Jedźmy do tego twojego motelu. Ale pamiętaj: żadnych numerów!

John rozłożył ręce w geście bezradności.

- Ja, nudnawy sztywniak, miałbym robić jakieś numery?

Silny poryw wiatru dmuchnął liśćmi wprost na nich i John osłonił Wandę ciałem. Ciepło jego skóry napełniło ją gwałtownym pożądaniem. Wtuliła się w męża, świadoma, że łamie dane sobie obietnice. Nie była jednak w stanie zbuntować się wobec objęć mężczyzny, za którym od kilku dni tak bardzo tęskniła.

Po chwili jednak skarciła siebie, że tak szybko się poddaje. Jeszcze nie skończyła się jej misja. Świadomość, że mogłaby wszystko zaprzepaścić, wzbudziła w niej gniew. Uniosła wzrok, gotowa odwołać jazdę do motelu, ale John ją uprzedził.

- Ten wiatr jest niczym w porównaniu z prawdziwym tajfunem - powiedział z uśmiechem, a ten uśmiech był jak szpilka, która przekłuła gorący balon złości.

Wanda zamknęła oczy i westchnęła.

- Tym właśnie dla ciebie jestem? Tajfunem, cyklonem, nieprzewidywalnym i niszczycielskim?

- Nieprzewidywalnym - potwierdził John, z uśmiechem wyjmując liście z jej włosów.

- A niszczycielskim?

- To zależy. Czy mam wziąć pod uwagę dzisiejszy piknik?

- Wolałabym nie, ale i tak musisz przyznać, że był inny niż wszystkie. - Wanda była zaskoczona, że potrafiła się roześmiać.

- Mhm, znalazło się nawet jedzenie. Tylko że nie w moim żołądku.

- Chcesz powiedzieć, że wciąż jesteś głodny?

- Nie, skąd. Nie zwracaj uwagi na to burczenie w moim brzuchu. -

Ujął Wandę za łokieć i poprowadził ją do bramy. - Chodź. Przegryziemy coś, ale najpierw pojedźmy do motelu. Przebiorę się, a ty rzucisz w tym czasie okiem na moje projekty dla Jacksona.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Znała go za dobrze, by uwierzyć, że tak szybko skapitulował. Ale kto wie? Może jej plan przynosi pierwsze efekty?

- Prowadź - powiedziała, wciąż pod wrażeniem tej niezwykłej jak na jej męża propozycji.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

W motelu nie było wprawdzie najlepszego szampana i pięciodaniowej kolacji, ale John uznał, że wszystko jest do nadrobienia. Wanda nie doceniała jeszcze jego możliwości. Za chwilę przekona się, że on, John Rockman, potrafi wyczarować coś z niczego, jeśli dać mu tylko odrobinę czasu. Tym razem zaś miał na wymyślenie motelowego scenariusza cały ranek.

Wanda stanęła przed drzwiami wynajętego pokoju i zastanawiała się, czy powinna przekroczyć próg.

- Chętnie cię przeniosę - zaproponował. Przewróciła oczami i weszła do środka.

- Z całą pewnością nie jest to motel z pokojami na godziny - powiedziała, przyglądając się eleganckiemu apartamentowi.

- Podoba ci się? - Wszedł za nią.

- Pluszowe dywany, wysoki sufit, ładne obrazy... - wyliczała, zatrzymując wzrok na reprodukcji Moneta, zawieszanej nad mahoniowym stołem. Dotknęła porcelanowego wazonu i zaciągnęła się zapachem świeżych kwiatów. - To jeden z najdroższych hoteli w okolicy.

- Pikanteria nie jest tania - odparł John.

- To zupełnie do ciebie niepodobne, żebyś wydawał pieniądze na coś, co nie jest związane z pracą.

John uśmiechnął się do siebie. Wanda nie miała pojęcia, jak bardzo jego wydatki i starania związane są z pracą. Nie mógł się na niej skupić, dopóki on był w Waszyngtonie, a ona w Richmond. Dobra nasza, pocieszał się, jeśli wszystko pójdzie gładko, do wieczora życie wróci do normy. Rano wyjadą z hotelu, Wanda wróci do domu, a on do biura. Przed dziesiątą wszyscy powinni być na miejscu.

Zanim jednak osiągnie swój cel, nie może się śpieszyć. Najlepszą taktyką będzie spokojne, eleganckie uwodzenie.



Podszedł za Wandą do dużych podwójnych drzwi.

- Co jest za nimi? - zapytała, naciskając klamkę. Po chwili stała już w progu obszernej sypialni z ogromnym łóżem, nakrytym gustowną narzutą. Aż westchnęła z zachwytem na ten widok.

- To standardowe wyposażenie hotelu, tylko łóżko jest trochę większe. Chcesz je wypróbować?

- Myślałam, że przyjechaliśmy tu po to, żebyś się przebrał. Ja miałam tylko przejrzeć twoje projekty. - Odwróciła się i wpadła wprost w ramiona męża.

John wciągnął powietrze i próbował rozluźnić mięśnie. Niestety, nadal był spięty. Znow zaczął sobie powtarzać, że nie powinien się śpieszyć, i dopiero wtedy odzyskał kontrolę nad pobudzonym nagle ciałem. Ale nie był już w stanie konsekwentnie realizować swojego planu. Czekanie było dla niego torturą. Wiedział, że albo natychmiast odwiezie Wandę do domu, albo...

- No więc, gdzie są te szkice?

- Tam. - Wskazał palcem owalny stół przy drzwiach, prowadzących na patio, a sam uciekł do łazienki.

Odkręcił do oporu prysznic i umył się zimną wodą. Kiedy znowu pojawił się w pokoju, czysty i jeszcze wilgotny, zobaczył Wandę, pochyloną nad szkicami i kołyszącą biodrami w rytm melodii, którą nuciała sobie pod nosem. Musiała to być jakaś ballada. Wolne ruchy bioder nie pasowały do żadnej rockowej piosenki.

Natychmiast odżyło w nim dzikie pożądanie. Wyobraził sobie, że podchodzi do niej od tyłu, łapie ją za biodra, przyciąga do siebie...

Serce zaczęło mu walić, miał wrażenie, że cała krew spłynęła nagle w to jedno miejsce, które stało się centrum wszystkiego. Zamknął oczy, próbując się opanować, ale dźwięk nuconej melodii świdrował mu w mózgu, drażnił i niepokoił. Wyobraził sobie Wandę, dom i puste łóżko. Zrobiłby teraz wszystko, czego by sobie zażyczyła, gdyby tylko wiedział, o co naprawdę jej chodzi.

Niestety, podejrzewał, że ona sama nie wie, czego chce. Bo nagły apetyt na pikantną randkę nie może być powodem wyprowadzki. A może znowu chodzi jej o dziecko? - pomyślał z nagłym przestraszeniem. Nie, miał nadzieję, że nie.

Nagle zamajaczyła mu myśl, że Wanda przestała go kochać i na siłę próbuje ratować ich związek. Natychmiast otworzył oczy. Szok spowodował, że zdrętwiały mu wszystkie mięśnie twarzy, na czoło wystąpiły kropelki potu, a kończyny odmówiły posłuszeństwa i zwiotczały.

Tylko nie to! Zrobi wszystko, dosłownie i naprawdę wszystko, żeby tylko zatrzymać przy sobie jej miłość!

Słuchaj, Rocko, stary chłopie; Ta sytuacja wymaga zastosowania sprawdzonych środków. Jeśli będziesz się zachowywał jak jaskiniowiec i na siłę próbował ją do czegoś zmusić, stracisz ją, bracie. Spraw, żeby twój urok wywołał w niej dzikie pożądanie. A kiedy to się uda, możesz ją znokautować i odtransportować do domu - podpowiadał mu głos płynący z głębi duszy.

- Dzięki za radę - powiedział głośno, zaskoczony swoją wizją.

- Jeszcze nie dałam ci żadnej rady. - Wanda odwróciła się nagle i przechyliła głowę. - Chcesz powiedzieć, żebym się pośpieszyła?

- Nie, skądże znowu. Usiądź sobie, proszę. - John odsunął krzesło i Wanda już miała usiąść, kiedy wskazał dłonią sofę. - A może tutaj? Będzie ci wygodniej.

Niestety. Zamiast podziękowania usłyszał głośny huk. Wanda nie trafiła siedzeniem na odstawione nagle krzesło i upadła na podłogę. Włosy zakryły jej twarz, bluzka podwinęła się do góry i odsłoniła brzuch. Przykucnęła na kolanach, ale zanim zdążyła wstać, John chwycił ją w ramiona i przytulił.

- Tak mnie ściskasz, że nie mogę oddychać - wyszeptała zdławionym głosem. Wiedział, że to nie z powodu upadku Wanda z trudem wydobywa z siebie słowa. Zdradzały ją oczy - pociemniałe nagle od wywołanej bliskością namiętności.

- Och, przepraszam, - Natychmiast zwolnił uścisk. - Usiądź. - Posadził ją na sofie. - Przynajmniej jestem jeszcze w stanie wywołać u ciebie palpacje.

- To nie palpacje. Po prostu usiłuję złapać oddech.

- Jasne - odparł, mrugnął do niej okiem i podszedł do malutkiej lodówki.

A więc Wanda nadal go kocha! Reaguje na jego dotyk!

Postanowił wzmocnić te uczucia nocą miłości. Otworzył szampana, nalał dwa kieliszki i odwrócił się w kierunku sofy.

Była pusta. Wanda siedziała przy Stole, nie kołysała już biodrami; za to prostowała się sztywno jak na spotkaniu biznesowym. John podszedł do niej, podał kieliszek i uśmiechnął się na widok jej zmarszczonego czoła.

- To szampan? - zapytała.

- Wliczony w cenę pokoju - skłamał. - Nie można pozwolić się mu zmarnować. - Nie upijając nawet łyka, odstawił swój kieliszek na stół i zaczął przyglądać się szkicom.

Przysunął się bliżej Wandy. Zbyt blisko. Mimo iż nadal lekko pachniała ziemniaczaną sałatką, wyczuł na jej skórze delikatną woń płynu do kąpieli. Wyobraził sobie nagą Wandę wychodzącą spod prysznic i dreszcz przeszedł mu po plecach. Próbował zapanować nad odruchami, wstrzymując oddech i licząc do dziesięciu... Potem dwudziestu. Trzydziestu/Wreszcie zrezygnował z dalszych prób.

"Cholera! Jeśli ona nie płonie podobnym pożądaniem, to doskonale je kryje za maską obojętności!

Chyba że już go nie kocha.

Ależ naturalnie, że kocha! A on, jeśli dalej będzie się tak ślamazarzył, okaże się frajerem, któremu dziewczyna uciekła sprzed nosa.

- Coś tu widzę, John - odezwała się, nachylając się nad stolikiem.

John zbliżył skwapliwie głowę do jej głowy, ciało do ciała. Dłoń położył na stole tuż obok dłoni Wandy, twarz zanurzył w jej włosach.

- Ja też - mruknął uwodzicielsko.

Wanda tymczasem ułożyła szkice jeden obok drugiego i wskazała palcem na pierwszy.

- Tu jest data sprzed czterech dni... a drugi szkic właściwie wygląda identycznie jak pierwszy. Dlaczego? Przecież zrobiłeś go trzy miesiące temu. Myślałam, że wprowadziłeś jakieś zmiany.

- Mhm... - John dmuchnął Wandzie do ucha i nawinął na palec kosmyk jej włosów. - Zmieniłem mnóstwo szczegółów i w rezultacie wróciłem do punktu wyjścia - wyjaśnił, muskając jej czuprynę. -

Rozumiesz, myślenie cykliczne.

- Raczej na okrętkę. - Wanda założyła włosy za ucho, przy okazji

uderzając Johna w nos.

Wyprostował się, chwycił swój kieliszek i upił łyk szampana.

Czuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją. Był spanikowany, podniecony, a jednocześnie niepewny i nieśmiały. Cieszył się wprawdzie, że udało mu się sprowadzić Wandę do hotelu, ale mimo wszystko nadal tkwili w odległości kilkunastu metrów od sypialni, on zaś był tylko o krok od ostatecznego rozładowania swojego napięcia.

Skarcił siebie za to, że zaproponował Wandzie obejrzenie szkiców. Doskonale wiedział, że je skrytykuje. I tak już zaatakowała go za styl życia i cechy charakteru.

- Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym zamówieniu? - zapytała.

- Bo jest duże. Bardzo duże. Jeśli dojdzie do realizacji tego projektu, będzie to wizytówka R&S. - John zniżył głos do jedwabistego basu i małym palcem dotknął ucha Wandy. - Jackson nie jest jedynym trudnym człowiekiem, z którym mam do czynienia. Dam sobie radę.

Wanda po raz kolejny założyła włosy za ucho. Tym razem jednak John zdążył się w porę odsunąć i uniknął kolejnego ciosu w nos.

- No a co będzie, jeśli Jackson zaakceptuje wreszcie twój projekt?

- Jak to co? Wtedy mamy zapewnione kolejne zlecenia.

- I co z tego?

- Nie rozumiem.

- Ale ja rozumiem, panie Rockman. Tb jest dokładnie to, o czym powiedziałam ci w parku. Prześladują cię strachy z dzieciństwa. Naprawdę nie jesteście biedni. Mamy nawet więcej, niż rzeczywiście potrzebujemy, żeby wygodnie żyć. R&S jest jedną z najlepszych firm w okolicy. Po co chcesz zepsuć to wszystko?

- Chcę się zabezpieczyć, kochanie. Gdyby nagle nastąpił taki kryzys jak w 1929 roku, nie chciałbym znaleźć się na lodzie.

- No więc pracujesz dla paru dzianych klientów, to otwiera ci drzwi do świata innych bogaczy, którzy chcą budować sobie pomniki, i tak w kółko. Nie spocznesz, póki wszyscy oni nie będą zamawiać kolejnych projektów tylko u ciebie, prawda?

- Nie widzę w tym nic złego - odparł John przez ściśnięte gardło. Ta rozmowa, i sytuacja, zaczynała układać się zdecydowanie nie po jego myśli.

- No pewnie. A więc w pewnym momencie firma tak się rozrośnie, że nie dacie rady prowadzić jej tylko z Larrym. Wynajmiecie młodych zdolnych architektów do kreatywnej roboty, a wam co zostanie?

- Więcej czasu na przebywanie z żoną. I rodziną - dodał po namyśle w nadziei, że ta uwaga osłabi gniew Wandy. Niestety, wcale tak się nie stało.

- Akurat! - zadrwiła. - Zostanie wam kupa papierkowej roboty, negocjacje kontraktów, inspekcje budów, lunche z klientami i inne duperele. Zarządzanie! - parsknęła pogardliwie.

- Nonsens. - John nie chciał dłużej słuchać tej okrutnej prawdy, ale nie mógł też zatrzymać potoku słów Wandy.

- A przecież ty - mówiła dalej - najbardziej kochasz w tej pracy jej kreatywną część, samo projektowanie. No więc wyobraź sobie, że będziesz przykładał długopis do kartki tylko po to, żeby podpisać rachunek. Naprawdę tego chcesz?

- Nie dociera do mnie twoje rozumowanie, Wando.

Rzeczywiście, coraz częściej myślał ostatnio, że sukces wymaga ofiar. A poza tym i tak przestał już czerpać satysfakcję z pracy projektanta. I to przez Jacksona. Oddanie części kreatywnej w ręce młodych, zdolnych architektów rozwiązałoby ten problem, a on - wmawiał sobie - umiałby przecież żyć bez tworzenia. Byle tylko Wanda przestała go dręczyć.

- Uspokój się, kochanie - odezwał się pojednawczo. - Na razie nie ma o co rwać włosów z głowy. Żadna z tych zmian nie nastąpi, dopóki nie sfinalizuję sprawy z Jacksonem.

Spojrzał na nią z nadzieją. Czy tak trudno go zrozumieć? Czy to źle, że cenił konkret, porządek i zdrowy rozsądek? Nie osiągnąłby tyle, gdyby kierował się emocjami. Sukces naprawdę wymaga samodyscypliny i poświęcenia, ale przecież nigdy nie chciał poświęcać dla niego ani Wandy, ani swojego małżeństwa.

Postanowił udowodnić jej to w jeden możliwy sposób. I - to zaraz, natychmiast, zanim niedziela dobiegnie końca. Im prędzej, tym lepiej. W końcu rano musi być w biurze.

- No dobrze, mieliśmy mówić o projekcie. Co mi doradzisz, kochanie?

Wanda podniosła wzrok.

- Przysuń krzesło - powiedziała. - Mam kilka sugestii. Powiem ci, o co mi chodzi, a potem odwieziesz mnie prosto do Dusty. I zapomnij o wspólnej kolacji. Boli mnie już głowa od tego Jacksona i twoich z nim interesów.

- Wal śmiało - zażartował John, przysuwając się bliżej. Im dłużej mówiła o tym, co w projekcie należałoby zmienić,

tym wyraźniej rysował mu się pomysł, jak ostatecznie rozwiązać ich małżeńskie problemy. W końcu wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Dlaczego na ten prosty plan nie wpadł wcześniej?



RS



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wanda uświadomiła sobie, że zrobiła źle, gdy tylko wyszła z łazienki w turbanie na głowie i krótkiej podomce. Co ją podkusiło, żeby zgodzić się na tę kolację w mieszkaniu Dusty? Miała teraz ochotę uciec do swojej sypialni i zamknąć się na klucz w razie, gdyby John spróbował ją dotknąć. Kiedy jednak tylko się zbliżył, zeszywniała.

- Umieram z głodu - oświadczył, przechodząc obok niej spokojnie i kierując się w stronę stojącej w kuchni lodówki.

- Nie ma w niej zbyt wiele - powiedziała.

- Na omlet wystarczy. Przebierz się, ja wszystko przygotuję.

- Jasne. Za chwilę wracam.

Odwróciła się szybko i zaczęła myśleć, czy powinna się czuć odrzucona z powodu tego, że John zajął się lodówką zamiast własną żoną.

- Poczekaj, nie zadasz mi żadnego pytania? Przystanęła zdezorientowana w drzwiach sypialni.

- No? - John zakrył oczy dłońmi. - Zapytaj mnie, co masz na sobie.

- Nie bądź niemądry.

- Boisz się, że zgadnę bez pudła?

- No dobrze. Co mam na sobie?

- Nie licząc króciutkiego szlafroka, nic - odparł radośnie. Dobrze, że miał zakryte oczy i nie zobaczył jej rumieńca.

- Ja... Wrócę za chwilę - bąknęła i schowała się za drzwiami sypialni.

Dołączyła do niego po dziesięciu minutach - w niebieskim, skromnym kostiumie, w którym czuła się znacznie bezpieczniej. Wciąż pamiętała o tym, że aby uratować Johna i wałacy się związek, musi na jakiś czas unikać dotykania męża i wszelkiej jego bliskości, ale kuchnia była zbyt mała, więc za każdym razem, kiedy przechodziła obok niego, po plecach przechodził jej niepokojący dreszcz. John zresztą reagował podobnie. W końcu ustąpiła mu miejsca i z boku obserwowała jego kulinarne

wyczyny.

Posługiwał się nożem tak sprawnie, jakby był on przedłużeniem jego ręki. Cieniutko posiekał grzyby, szynkę pokroił w kostkę i przyszklił na maśle cebulę, pod koniec dodając do niej odrobinę czosnku. Smakowity zapach zakręcił jej w nosie; pusty żołądek natychmiast dał o sobie znać. Kiedy podawała mu talerz, poczuła, że zapach jedzenia przesiąknął ciało Johna. Pachniał teraz mieszaniną odurzającej męskiej woni i pysznej kolacji. Gdy wreszcie nałożył omlety na podgrzane talerze, Wanda poczuła, że jest spragniona nie tylko jedzenia.

Posiłek zjedli w pełnej napięcia ciszy, a potem przenieśli się do salonu, żeby dokończyć wino. Wanda pozwoliła sobie na więcej niż zwykły limit dwóch kieliszków, toteż szumiało jej lekko w głowie. Wtulila się w poduszki na sofie, John usiadł obok i po raz kolejny nappełnił jej kieliszek.

Zadzwoił telefon, ale zaraz po drugim sygnale Wanda podniosła słuchawkę i szybko odłożyła ją na widełki.

- To mogła być ważna wiadomość dla Dusty - zauważył John.
- Przecież jej nie ma - odparła, podnosząc wino do ust.

John zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważnie. Uśmiechnęła się łobuzersko, ale nie oderwała szkła od ust, mimo że już nie piła. Zniewolona jego wzrokiem, patrzyła prosto w lśniące źrenice i czuła, że serce bije jej coraz szybciej.

- Och, Wando - zaczął, przygarniając ją do siebie z westchnieniem. - Chciałbym ci podziękować za wspaniały dzień, ale... - w jego oczach mignął przez chwilę przekorny błysk - ..ale muszę już jechać.

- Co?
- Jest już późno. Jutro rano muszę być w biurze. - Położył grzecznie dłonie na kolanach i wstał.
- Och! A ja myślałam, że...
- Że będę się z tobą kochać?
- Tak. Nie! To znaczy...
- Cieszę się, że nie ja jeden jestem zmieszany z powodu tych randkowych pomysłów.

Nachylił się nad Wandą z łagodnym uśmiechem. Nienawidziła, kiedy tak robił. Czuła się wtedy mała i nieważna. Właśnie dlatego gwałtownie

podniosła się z sofy, tak szybko, że aż zakręciło się jej w głowie.

- Wcale nie jestem zmieszana. A ty nie możesz zaprzeczyć, że miałeś maślany wzrok. Dla lepszego efektu nawet zdjąłeś okulary!

- Zdjąłem, żeby przemyć oczy. Nie pamiętasz? Kroilem cebulę. Nie pochlebiaj sobie, nie mam zamiaru cię uwieść. Zresztą i tak cały wieczór siedziałeś nadęta i sapałaś jak przegrzana lokomotywa.

- Przegrzana lokomotywa!?

- Tak jest. Kochanie się z tobą byłoby ostatnią rzeczą, jaka by mi przyszła do głowy. Musisz jednak przyznać, że nie jest dobrze, jeśli mąż nie może pocałować żony, nie narażając się przy tym na spoliczkowanie albo określenie „podrywacz”, „Casanova” i tym podobne.

Wanda wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Nie dość, że źle odczytała jego intencje, to na dodatek John przyznał, że kochanie się z nią to...

Ostatnia myśl! Co za łajdak!

Wciąż siedziała w osłupieniu, kiedy poszedł do kuchni, a po chwili wrócił z pełnymi kieliszkami.

- Teraz widzę lepiej - powiedział, poprawiając kciukiem okulary na nosie - ale obraz wcale nie jest wyraźny.

- Właśnie takimi uwagami za każdym razem wygrywasz kłótnie.

- Czy ja się kłóczę? Próbuję prowadzić racjonalną dyskusję, ale z tobą to niemożliwe.

- Ty jesteś niemożliwy. Z tobą niemożliwa jest nawet prawdziwa randka. Cały dzień narzekasz, a potem mnie obrażasz. Boże, chyba jestem idiotką, że...

- Ty jesteś idiotką? Przecież to ja jestem obiektem twojej krytyki. Ty jesteś ideałem, Wando - oznajmił zgryźliwie.

- Nie mówiłam nigdy, że jestem ideałem!

- I zgadza się! Nie jesteś! Jesteś nieobliczalna, narwana, infantylna i szalona. I doprowadzasz mnie do rozpacz, zmuszając, żebym czytał w twoich myślach. Wiesz co? Podejrzewam, że nawet ty sama nie wiesz, czego naprawdę chcesz. - John machnął ręką w powietrzu, a potem głęboko westchnął. - Dobra. Jadę do domu. Mam zamiar zapomnieć o tym weekendzie, dobrze się wyspać, a w poniedziałek pokazać Jacksonowi nowe projekty. Mam nadzieję, że chociaż on będzie w stanie podjąć jakąś decyzję. Widzisz, Wando, potrafię przebywać tylko z

jednym szaleńcem na raz.

- I wolisz Jacksona?

- W porównaniu z tobą jest nieskomplikowany jak dziecięcy rebus. -

John odwrócił się i wyszedł do przedpokoju. - Gdzie jest mój płaszcz?

- Zmuszę cię, żebyś się przekonał, że wcale nie jestem szalona. Ja dokładnie wiem, czego szukam.

- Ja też. Płaszcz - odparł, przeszukując szafę.

Wanda odnalazła odpowiedni wieszak i zdjęła z niego elegancki płaszcz o tradycyjnym kroju.

- Jedyne bez wyrazu ciuch w całej szafie! - syknęła prowokacyjnie, lecz John nałożył tylko spokojnie płaszcz, poprawił kołnierz, klapy i krawat, po czym położył dłoń na klamce. - Dobrze. Powiem ci, czego chcę. - Wanda przytrzymała jego rękę. - Mniej usystematyzowanego życia i więcej luzu. Chcę, żebyś przestał się puszyć, stresować i wprowadzać nerwowość do naszego domu.

- To wszystko?

- Chcę ciebie... Chcę rodziny.

- I psa.

- Mniejsza o psa.

- Świetnie. Mniejsza o psa... Chcesz tylko mieć rodzinę. Wanda przytaknęła.

- Doskonale. Wrócimy do domu i zaczniemy nad tym pracować.

- Nie rozumiesz. Nie chcę dziecka, dopóki nie przekonam się, że jesteś na nie przygotowany.

- Będę gotowy, jeśli doprowadzę do porządku inne sprawy.

- Czyli kiedy? Jak opanujesz już cały rynek? I tak praca stała się dla ciebie ważniejsza niż nasz związek.

- Nieprawda.

- No więc udowodnij mi, że jest inaczej.

John przysunął się, objął dłońmi twarz Wandy i zamknął oczy. Kiedy jednak zbliżał usta do jej warg, nakryła je dłonią i nie pozwoliła się pocałować. Spojrzał na nią ze zdziwieniem, a potem wyprostował się jak struna.

- Udowadniasz tylko, że potrafisz całować, czego zresztą nigdy nie negowałam.

- Dzięki, że chociaż na coś nie narzekasz.

- Fakt, jesteś wspaniałym kochankiem. - Ale gdybyś całkiem się odprężył, zapomniał o rzeczywistości, byłbyś jeszcze lepszy, dodała w myślach.

- Co więc teraz zamierzasz? - zapytał John. - Miałaś swoją randkę, nawet dwie. I pikanterię.

- Teraz ty zaplanuj randkę po swojemu. Zrób coś, czego normalnie byś nie zrobił. I pamiętaj, randka nie może zakończyć się w łóżku. Zanim zdecyduję się na powrót do domu, muszę mieć pewność, że naprawdę się starasz i że ci na mnie zależy.

- Dobrze, dziecino, ale pamiętaj, że zostały już tylko cztery randki.

- Znowu zaczynasz z tymi swoimi terminami i ustaleniami. Skąd wiesz, że wystarczą nam cztery? Musisz być otwarty na kolejne, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- I tu się mylisz, Wando. Nie mam zamiaru do końca życia umawiać się na randki z własną żoną. Byłem cierpliwy, dostosowałem się...

- Masz rację - przerwała Wanda. - Dostosowałeś się i to wszystko. Czasami mnie rozśmieszałeś w nadziei, że wreszcie się poddam. Ale nadal nie rozumiesz, co chcę ci udowodnić. Poza tym naucz wreszcie cieszyć się życiem, Rocko, używać własnej fantazji, korzystać z różnych niespodzianek, jakie niesie los. One wzbogacają życie. Twoje projekty...

- Moje projekty? Jeśli wciąż jesteś wściekła, to mi powiedz, ale nie mieszaj w to moich projektów.

- Kiedyś twoje projekty pełne były niespodzianek. Były ekscytujące, przekraczały konwencje...

- .. i nikt ich nie kupował - wtrącił John. - Teraz się sprzedają.

- Bo teraz są nudne.

Oczy Johna pociemniały. Stały się prawie czarne.

- Wystarczy. Wychodzę. - Szorstkość jego tonu przyprawiała Wandę o dreszcze. Czowała, że go traci. - Jadę do domu. Jeśli skończyłaś już z tą swoją przygodą, możesz pojechać ze mną.

Wanda powiedziała cichutkie: „Nie” i poczuła, że w jej oczach zakręciły się gorzkie łzy. Mimo wszystko dostrzegła przez nie, jak John z żalem potrząsa głową. Mrugnęła i pierwsza łza potoczyła się po policzku. Za chwilę spłynęły kolejne.

- No dobrze, Wando. Spróbujemy umówić się jeszcze na kilka randek, ale chcę, żebyś coś ważnego sobie przemyślała. Nie mogę żyć w chaosie, więc lepiej będzie, jeśli postarasz się przejść tę... dziecięcą chorobę jak najszybciej.

W jednej chwili Wandzie wyschły oczy. Chciała krzyknąć, zaprotestować. Otworzyła usta, ale nie mogła dobyć głosu. On zaś odgarnął jej z czoła kosmyk włosów, uniósł głowę i spowodował, że stanęła na palcach. Wanda zarzuciła mu dłonie na szyję, a John nakrył jej usta namiętym pocałunkiem. Całował ją dziko, łapczywie, do utraty tchu. Odwzajemniała się pieszczotą tak gwałtowną, jakby chciała odgonić nią myśli o tym, że mógłby ją opuścić.

Zaczął całować jej szyję, dekolt, piersi. Jego usta były gorące i wilgotne, zapach - odurzający i zniewalający. Wanda czekała na jego dotyk, pragnęła go i tęskniła za nim, jak spalona ziemia tęskni za deszczem. Chciała wciąż więcej i więcej...

- Ohoho! - głośny, radosny okrzyk otrzeźwił ją w jednej chwili. Dusty! Całkiem o niej zapomniała. - Przeszkadzam w czymś? - zapytała siostra, zerkając dyskretnie przez szparę w drzwiach.

Wanda i John jak na komendę odskoczyli od siebie.

- Pamiętaj - powiedział tylko i wyszedł z mieszkania. Po chwili obie siostry usłyszały ciężkie, szybkie kroki na schodach, a zaraz potem zapadła cisza.

- Przeszkodziłam wam w czymś? - powtórzyła raz jeszcze Dusty. - To dobrze. Jak ci się podobał mój okrzyk? Świetny, nie? Dobrze wymierzyłam czas? Czekałam dziesięć minut po sygnale telefonu, tak jak się umawiałyśmy. No? Co myślisz o moim wyczuciu czasu?

- Byłaś trochę zbyt głośna - odparła Wanda, odpychając się od szafy. Powlokła się do pokoju, opadła na sofę, nakryła kolana poduszką i oparła na niej brodę.

Nagle poczuła w piersi przeszywający ból. Mimo iż miała ochotę rozplakać się i w ten sposób oczyścić duszę ze złych emocji, jej oczy były suche. Do licha, czuła się beznadziejnie zagubiona. Po raz pierwszy w życiu nie miała pomysłu na wydobycie się z kryzysu. Wiedziała, że życie bez Johna byłoby dla niej niemożliwe, z drugiej jednak strony nie mogłaby znieść ich dotychczasowego życia w rozłące i wiecznym



pośpiechu.

- Oho! Wyczuwam coś niedobrego. - Dusty przysiadła obok niej.
- Słusznie. Mam fatalne przeczucie, że mogę stracić męża.
- Którego? Tego, którego nie akceptujesz i próbujesz zmienić, czy nie istniejącego od kilku już lat, którego zachciało ci się wskrzesić?
- John uważa, że przechodzę jakąś krytyczną fazę, dziecięcą chorobę. Oczekuje, że szybko wrócę do normalności.
- Czy to znaczy, że pomysł z randkami jest nieaktualny?
- Niezupełnie. Zgodził się warunkowo na kilka.
- Brzmi niezbyt obiecująco. - Dusty zniknęła w kuchni, by po chwili wrócić z pucharem pełnym lodów. - Masz, siostrzyczko. Umil sobie życie. Wiem, że najlepsze pomysły miewasz po zjedzeniu czegoś słodkiego, a z tego, co słyszę, musisz chyba szybko coś wymyślić.
- A ty?
- Wczoraj zjadłam tyle porcji, że wyczerpałam roczny limit. Od samego patrzenia na ciebie przybędzie mi kilka kilogramów.
- Wanda zagarnęła łyżką lodową masę i zaczęła zlizywać ją powoli.
- Wiem już, że tak szybko sobie z nim nie poradzę. Prześladowają go ciągle wspomnienia z dzieciństwa. Wiesz przecież, że jego obsesja na punkcie pracy bierze się właśnie z tego powodu.
- Domyśliłam się. Pamiętasz powiedzenie babci: „Po zapasach w kuchni poznasz, czy ktoś klepał kiedyś biedę”?
- Ale ten mój „ktoś” jest tak zajęty robieniem zapasów, że nie nadąża z ich konsumpcją. To się musi zmienić - rzekła Wanda i włożyła do ust kolejną porcję lodów. - Nie mogę się poddać.
- Nawet jeśli on postawi ci ultimatum? Wanda westchnęła.
- Nawet wtedy - odparła, znając wagę wypowiedzianych słów.
- Masz mało czasu.
- Wiem. I muszę sprawić, żeby John nie mógł się doczekać najbliższej randki. Czas na trzecią fazę planu: uświadomienie Johnowi Rockmanowi, jakie to okropności go czekają, jeśli nie zmieni trybu życia. - Z szelmowskim uśmiechem Wanda sięgnęła po telefon.
- Do kogo dzwonisz? Do Johna?
- Nie. Do mojego szefa. Od czasu kiedy odeszłam, wciąż namawia mnie, żebym wróciła do pracy.

Dusty wyprostowała się jak struna.

- Ale przecież jest jedenasta w nocy!
- On i tak cierpi na bezsenność. Jeśli mówi: „Dzwoń o każdej porze”, to mówi to dosłownie.

Kiedy po skończonej rozmowie Wanda odkładała słuchawkę, w kącikach jej ust igrał diabelski uśmiezek.

- Posłuchaj, Dusty - odezwała się porozumiewawczo - w ciągu kilku następnych dni czeka nas dużo pracy.

- Nas? O, nie... Proszę, powiedz, że tym razem nie będę miała z tym nic wspólnego.



RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

John siedział za biurkiem, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w kolejną wersję projektu dla Jacksona. Na ustach wciąż czuł pocałunek Wandy. Zastanawiał się, ile jeszcze upłynie czasu, zanim jego żona przestanie się wygłupiać. Nie potrafił sobie wyobrazić kolejnego tygodnia w pustym, zimnym łóżku. Z całą pewnością nie mógł też sobie pozwolić na jeszcze jeden tydzień kursowania pomiędzy Waszyngtonem a Richmond, przynajmniej do czasu, aż nie podpisze wreszcie tego cholernego kontraktu.

Zerknął na zegarek - ósma. O dziesiątej miało się rozpocząć spotkanie. Pozostały dwie godziny na to, żeby jeszcze raz przejrzeć szkice i przewidzieć ewentualne problemy, które mogą pojawić się w czasie dyskusji. John postanowił, że wypisze Jacksonowi odrębny rachunek na papier, jeśli ten zażąda dodatkowych zmian.

Raz jeszcze spojrzął na szkice. Dwudziestopięciopiętrowy biurowiec z dodatkowym wyposażeniem „specjalnie dla kobiet”. W trosce o liczny personel kobiecy Jackson zażądał, aby budynek miał mniej oficjalny charakter. On, John Rockman, starał się zaspokoić oczekiwania swego klienta. Wymyślił ostre łuki, jasne, proste, symetryczne linie, czytelne proporcje...

Nuda. Czy nie tak powiedziałyby Wanda? Brak niespodzianek, pikanterii...

Tylko że Jackson wcale nie żądał pikanterii. Szokujący, ekstrawagancki projekt miał szansę spodobać się Wandzie. John z kolei lubił mieć szansę na realizację swoich projektów. A Wanda w przeciwieństwie do Jacksona nie zamawiała u niego dwudziestopięciopiętrowego wieżowca.

- Hej, stary! Od dwudziestu minut przyglądasz się tym szkicom, jakbyś chciał je zahipnotyzować. - Larry oparł się na kłamce. Włosy miał spięte w kucyk, a jego jaskrawa koszula była rozpięta przy szyi. Nie miał na sobie krawata, za to zdobiły go czerwone szelki nakrapiane

myszkami Miki, które podtrzymywały luźne purpurowe spodnie.

John uśmiechnął się smutno.

- Jeżeli Jacksonowi nie spodobają się te projekty, to może rzeczywiście powinienem poszukać mistycznego natchnienia.

- Jeśli nie będzie zadowolony, proponuję spalić go na stosie.

Johna nie rozbawiła ta uwaga. Patrzył na projekty, ale myślami był daleko. Gdyby spotkanie nie trwało dłużej niż godzinę i gdyby Jackson nie miał żadnych zastrzeżeń, mógłby wcześniej wyjść z pracy i pojechać do Richmond. Złożyłby niezapowiedzianą wizytę Wandzie, uprzedzając tym samym wszelkie niespodzianki z jej strony. Porozmawialiby spokojnie, wyjaśniliby sobie nieporozumienia i wkrótce życie wróciłoby do normalności.

- No, no, John... Gdziekolwiek jesteś, nie ma cię tutaj. - Larry opierał się na biurku i wymachiwał dłonią przed jego twarzą. - Obudź się, chłopie. Zaraz będzie tu Jackson, a ponieważ to ja jestem panikarz, na ciebie spadnie obowiązek poskramiania bestii.

Tak, jestem w stanie poskromić Jacksona, ale czy potrafię okiełznać tajfun zwany Wandą? - pytał siebie w myślach John.

Co powinienem jeszcze zrobić, żebyśmy znowu byli normalną parą? I czy życie u boku Wandy w ogóle może być normalne?

Przypomniał sobie czasy zaraz po ślubie, kiedy to Wanda jeszcze pracowała, a Larry nie miał własnej firmy. Wtedy nie przeszkadzały mu dziwactwa żony, ona zaś wcale nie uważała, że jest nudziarzem, a ich małżeństwu brakuje pikanterii.

Od którego momentu to się zmieniło? Kiedy Wanda zaczęła rzucać w niego talerzami i powtarzać swoją śpiewkę o psie albo dziecku? Jeśli chodzi o psa, to ostatecznie dałby się przekonać, ale dziecko? Nie, stanowczo nie był to właściwy czas na poszerzanie rodziny. Najpierw trzeba zgromadzić odpowiednie oszczędności, ugruntować karierę i osiągnąć wszystkie wyznaczone cele, a dopiero potem zastanawiać się nad dzieckiem.

Kiedy zresztą po raz pierwszy rozmawiali na ten temat, obydwójce zgodzili się, że należy jeszcze poczekać. Co się stało, że Wanda zmieniła nagle zdanie? Czy te wszystkie fochy nie biorą się stąd, że jego żona siedzi w domu, pozbawiona dotychczasowej pracy?

Uśmiechnął się. Wiedział już, jak należy działać. Najpierw musi sprowadzić żonę do domu, potem znaleźć jej jakieś zajęcie, a następnie zaprowadzić porządek w ich życiu. Jedna rzecz nadal pozostawała niewzruszona - za wcześnie na dziecko.

- Do cholery, nie jesteśmy jeszcze gotowi! - krzyknął głośno.

- Jak to? Jackson będzie tu za niespełna godzinę. Co jeszcze nie jest gotowe? - pisał Larry.

John natychmiast się opamiętał. Spokojnie, Rocko. Tylko nie gadaj do siebie. Nie zwariowałaś jeszcze chyba. Jeszcze nie...

- Ogień - rzekł John, przypominając sobie słowa Larry'ego na temat stosu. - Musimy uzyskać pozwolenie na otwarty ogień.

- Nie strasz mnie, człowieku. Odkąd wyjechała Wanda, dziwnie się zachowujesz. W pierwszej chwili myślałem, że projekty dla Jacksona nie są jeszcze gotowe.

- Są tak samo gotowe, jak ostatnim razem.

- Głowa do góry. Masz chyba dar przekonywania, nie? W razie czego zobaczę, co da się zrobić z tym pozwoleniem.

Im dłużej John przyglądał się minom Jacksona oraz jego partnera, tym szybciej topniała nadzieja na rychły wyjazd do Richmond. Jackson siedział prosto jak struna i pocierał z zakłopotaniem brodę. Jego porane zmarszczkami czoło i wysokie kości policzkowe sprawiały wrażenie kanionu, za którymi prawie nie widać było oczu. Na całej jego twarzy rysowały się bruzdy, linie i rozmaite doły. John podejrzewał, że Jackson nigdy się nie uśmiecha - a z pewnością nie w jego obecności.

- No tak, no tak... Ładne... - Jackson po raz ostatni rzucił wzrokiem na trzy rozłożone projekty, po czym odsunął krzesło i wstał. - Ale...

- Ale co? - jęknął Larry.

- Ale to ciągle nie to.

John przełamał ołówek na pół, odłożył go na stół i wskazał klientowi krzesło.

- Proszę o uwagi, panie Jackson - powiedział spokojnie, choć krew gotowała się w nim z wściekłości. - Proszę się tylko nie śpieszyć. Niech pan usiądzie i jeszcze raz opowie nam dokładnie, co chciałby pan zmienić.

Trudno, nie pojedzie do Richmond. Ani teraz, ani za godzinę. Ani za

dwie. Ani za trzy.

Cztery godziny później John wciąż pochylał się nad szkicami i analizował wszystkie uwagi naniesione przez Jacksona. Powtarzał sobie, że klient zawsze ma rację. Tak, tylko dlaczego ten cholerny klient co rusz zmienia zdanie? John miał na to pytanie własną odpowiedź. Opuścił głowę i zaczął mówić ponurym głosem, zupełnie jakby Jackson cały czas siedział po drugiej stronie biurka:

- Słuchaj, Jackson. Wiemy, do czego zmierzasz. Próbujesz się wykręcić, ale ci nie wychodzi. Tylko że my mamy już dosyć twoich gier. Od tej chwili to my przejmujemy pałeczkę. Co powiemy, to się stanie. Kapujesz? - Wskazał ołówkiem w stronę niewidzialnego gościa.

Kiedy przekonywał Larry'ego, że warto podjąć wyzwanie, wydawało mu się, że negocjacje będą znacznie mniej skomplikowane. Mimo wszystko to Jackson się do nich zgłosił, a nie na odwrót. Do budowy swego nowego biurowca o nazwie The Jackson Towers postanowił zaangażować młode, świeże talenty i od razu wybrał R&S Architects.

No i dostał, czego chciał - oryginalny projekt po bardzo okazyjnej cenie. A jednak to, co pierwotnie zdawało się Johnowi i Larry'emu życiową szansą, teraz stało się ich koszmarem.

Powinienem przekazać ten projekt Larry'emu, myślał zrezygnowany John. Co ja właściwie próbuję udowodnić? Że potrafię jeszcze wymyślić coś innego niż zwykłe pudełko?

Zazgrzytał zębami i wymazał gumką kolumny, które do dzisiejszego ranka były ulubioną częścią Jacksona w projekcie biurowca. Spojrzał na pustą przestrzeń na kartce. A może by tak to zostawić? - pomyślał. Pusta przestrzeń odpowiada wymogowi prostych i wyrazistych linii. Nie odważył się jednak i zaczął zapierać ołówkiem puste miejsca po kolumnach.

Trzy kartki i jeden ołówek później nadal nie miał żadnego pomysłu. Eksperymentował z kształtem, materiałem, lokalizacją, ale żadne z rozwiązań nie było odkrywcze. Tłumaczył sobie, że byłoby mu o wiele łatwiej, gdyby Jackson dokładnie wytłumaczył, o co chodzi, a nie pognął na kolejne spotkanie i zostawił go jego domysłem. Czego jednak właściwie się spodziewał po facecie takim jak on? Nie ma głupich. Od tej pory będzie przyjmował zlecenia tylko od miłych staruszków, którzy



mieszkają co najmniej pięć stanów dalej, a ich wymagania ograniczają się do prostych górskich chat z drewna.

Tylko czy wtedy nadal będzie mógł myśleć, że już jest wśród najlepszych, a będzie jeszcze wyżej?

E, tam. Po co mu to? I tak ma już dosyć. Klienci doprowadzają go do szału.

Czyżby więc panikował? Poddawał się? Teraz, kiedy jest tak blisko celu?

Nie, nie poddaje się wcale, a tylko wycofuje swój udział z tego cholernego wyścigu szczurów. Od tej chwili będzie projektował wyłącznie drewniane chałupki, dla czystej przyjemności. Koniec harowy i gonienia za mamoną.

Koniec? Spokojnie, to tylko chwilowe zwątpienie. Zdobędzie ten szczyt, choćby miał poświęcić dla niego wszystko, nawet własne małżeństwo...

- O, nie! Za nic w świecie! - powiedział na głos John, przerywając tę wewnętrzną bitwę myśli.

Nie zrobi tego, bo o to właśnie oskarża go Wanda: że dla kariery jest gotów poświęcić ich związek. A przecież on tłumaczył jej tyle razy, że robi to nie dla siebie, a dla nich. Że gdy tylko uwiną się z Larrym, ich życie, jego i Wandy, ustabilizuje się i uspokoi. Że będą mieli wszystko, czego dusza zapragnie, włącznie z wolnym czasem. Pies, dziecko? Proszę uprzejmie. Gdy będzie już po wszystkim, i to stanie się możliwe.

Niestety, marne były widoki na rychłe osiągnięcie celu. Jackson wyszedł z niczym, a on miał w głowie pustkę. Zamiast projektować, wyobrażał sobie Wandę, siedzącą w rogu łóżka w jednym z jego podkoszulków. Na twarz spadały jej złociste loki, przez które widać było rozchylone, wilgotne usta...

John zamknął oczy i rozkoszował się tym obrazem. Niemal poczuł czysty, mydlany zapach jej ciała. Serce zabiło mu mocniej, podbrzusze wypełnił nagły skurcz. Wstał, ale to nie pomogło. Wręcz przeciwnie, pożądanie zatrzęsło teraz całym jego ciałem.

Dopiero huk przewracającego się krzesła wyrwał go z zamyślenia. Nogi zaplątały mu się o mebel i runął wraz z nim, ściągając z biurka wszystkie kartki.

- Wszystko w porządku? - Larry wsunął głowę do jego pokoju i spojrzał na współnika z z troskaniem.
- To nic. Upadłem tylko. - John uśmiechnął się uspokajająco.
- Moja babcia na pewno dopasowałaby to tej sytuacji jakieś powiedzenie.
- Ja mam własne. -Tak?
- Tak. Wanda.
- Dobrze, że mi przypomniałeś - powiedział Larry. - Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że właśnie przyjechała. Wanda czeka u mnie w gabinecie.



RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co zrobiłaś?! - John spojrział na Wandę z niedowierzaniem. Wanda obeszła owalny stół konferencyjny, dając mu czas na oswojenie się z piorunującą informacją.

- Wracam do mojej starej firmy, ale tym razem to ja będę ustalać godziny pracy - odparła, leniwie przesuwając dłonią po oparciu krzesła. Cieszyła się, że może być cały czas w ruchu. Chodzenie po pokoju uspakajało ją i pozwalało kontrolować wypowiedzane słowa. O ile zazwyczaj nie czuła potrzeby, żeby panować nad językiem, tak teraz było to absolutnie konieczne.

Wanda wiedziała, że nie może usiąść i dać Johnowi okazji, żeby nad nią stanął i zaczął górować. Nawet teraz, kiedy stał po przeciwnej stronie stołu, spoglądał na nią z góry, celowo więc oddaliła się od niego. Bała się, że przechytrzy ją i odwiedzie od planów, kiedy tylko zmniejszy się dystans między nimi.

- Ale dlaczego?

- Myślałam, że moja decyzja cię ucieszy. Sam sugerowałeś, że powinnam się czymś zająć.

- Owszem, ale dlaczego akurat teraz?

Wanda podeszła do ściany, na której wisiał projekt budynku dla Jacksona oraz kilka innych szkiców. Na wszystkich widniały daty, dlatego bez problemu mogła ocenić postęp pomysłów lub ich brak. Raczej brak, oceniła szybko.

- Wczoraj, po twoim wyjeździe - zaczęła tłumaczyć - długo zastanawiałam się nad naszym małżeństwem. Ono musi się zmienić, John. Pragnę, żebyśmy prowadzili inne, lepsze życie, ale nie chcę, żeby cała odpowiedzialność za to spadała na ciebie. John skrzyżował dłonie na piersi. Wyglądał teraz jak nauczyciel, słuchający odpowiedzi swojego ucznia.

- Mam rozumieć, że skończyłaś już swoją kampanię na rzecz spontaniczności i pikanterii w małżeństwie?

- Ależ skąd! Decyzja o powrocie do pracy ma być tylko dodatkiem do tej -jak to nazywasz - kampanii. Twierdzisz, że jestem infantylna i mam zbyt dużo wolnego czasu. No cóż... Mam właśnie zamiar to zmienić.

- Mimo iż nie do końca zgadzasz się z tą oceną?

- Czyżbyś był podejrzliwy? Naprawdę chętnie zmienię parę rzeczy. Może obydwoje wyniesiemy z tego jakąś naukę.

- Hm, ta nagła zmiana twojego zachowania jest dla mnie... prawdziwym zaskoczeniem.

- Myślałam, że będziesz zadowolony.

- Naturalnie, jestem zadowolony - odparł niepewnym głosem.

Wanda wiedziała, że John nie kłamie. Zwykle rozmawiał

z nią gładkim i uwodzicielskim basem, teraz jednak jego głos przypominał chropawy dźwięk trąbki. Jej mąż był zdezorientowany, lecz chyba nie wyczuł w jej postanowieniu i postawie żadnego podstęp.

- Jestem naprawdę zadowolony - powtórzył. - I myślę, że powinniśmy to uczcić. Co powiesz na lunch? Daj mi kilka minut na dokończenie roboty, a potem możemy jechać.

- John, jest wpół do czwartej. Lunch zjadłam dwie godziny temu. A poza tym muszę wracać do pracy. Osobiście odpowiadam za kampanię reklamową pewnej nowej firmy... I oczywiście mam na wszystko strasznie mało czasu.

- No dobrze - John westchnął i przeczesał palcami włosy. - Ale ranga tego zadania tym bardziej zasługuje na jakąś uroczystość. Może zjemy kolację w jakimś ciekawym miejscu? Na przykład w restauracji na nabrzeżu?

- John...

- Wiem, że jest droga, ale teraz zarabiamy obydwoje i możemy sobie pozwolić na odrobinę ekstrawagancji. O której dzisiaj kończysz? Odbiorę cię i razem pojedziemy do domu.

- Ja...

- Okay, wiem. Najpierw pojedziemy do Dusty, zabierzemy twoje rzeczy, a potem wyruszymy w miasto. Tak lepiej?

- Jak to, zabierzemy rzeczy? Czy uważasz, że skoro posłuchałam ciebie i podjęłam pracę, to automatycznie zdecyduję się wracać do

domu?

- Szczerze mówiąc, tak właśnie myślałem. Będziesz codziennie dojeżdżać z Richmond do Waszyngtonu?

- John, mamy lata dziewięćdziesiąte. Są komputery, faksy, poczta elektroniczna... Nie muszę codziennie jeździć do Waszyngtonu. Poza tym nie zmieniałam zdania w sprawie dla mnie najważniejszej: nie przyjadę do domu, dopóki nie zejdą się nasze cele. Jedyne problemy polegają na tym, że przy tej nowej kampanii będę miała kupę roboty, dlatego nie wiem, kiedy odbędzie się nasza następna randka.

John wytrzeszczył oczy. Ramiona opadły mu wzdłuż tułowia i stał teraz żałośnie jak przemoczony żołnierz na warcie. Sądziła, że odparuje jakąś złośliwą uwagą, ale on milczał jak grób.

Wanda przełknęła ślinę. Jej serce wypełniło się nagle współczuciem. Na widok Johna stopniała w niej wola walki. Miała już nawet zwierzyć mu się ze swojego pomysłu, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- No nic, muszę lecieć - powiedziała, odsłaniając swój nowy zegarek. - Nie mogę się spóźnić na pierwsze spotkanie z klientem. - Nie zastanawiając się ani chwili, pewnym krokiem podeszła do Johna, wspięła się na palce i musnęła ustami jego wargi. - Zobacz, nawet dobrze się złożyło: ty musisz pracować nad projektem dla Jacksona, ja nad kampanią. Kto by pomyślał, że tak się zsynchronizujemy?

Z tymi słowami Wanda odwróciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając za nimi osłupiałego męża.

John spojrzał na partnera i potrząsnął głową. - Co ona knuje?

- Nic. Po prostu podjęła pracę na cały etat. - Larry wzruszył ramionami.

- Ale dlaczego akurat teraz? Wielokrotnie jej to sugerowałem, ale nigdy mnie nie słuchała, aż tu nagle bum! - John potarł kark i zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. - Nie - pokręcił głową - jestem przekonany, że ona coś knuje. Nie znasz jej, Larry. To tajfun, nie kobieta.

- Ale co?

- Nie mam pojęcia. Najpierw wykombinowała ten przeklęty kowbojski wieczorek, potem piknik, a teraz to.

- Nie widzę nic złego w tym, że podjęła pracę. Moim zdaniem

postąpiła rozsądnie i słusznie.

- Właśnie! - John wymierzył palec w Larry'ego. - Zrobiła za dobrze. Do tej pory chciała zrobić karierę, pracując na pół gwizdka.

- Spryciara. Może powinienem pracować razem z nią? Taka postawa jest mi bliska. Daj znać, jeśli się rozstaniecie.

John odwrócił się i jednym susem skoczył do wspólnika, który w samą porę umknął z gabinetu. Spokojnie, Rocko, uspokajał później sam siebie, nie będziesz rzucał się i pieklił z powodu szanownej małżonki, która nie może się zdecydować, czego naprawdę oczekuje od życia.

Praca. Kariera. Kampania reklamowa... Nie minie tydzień, a Wanda oświadczy, że rezygnuje z posady. Tydzień, nie dłużej.

Tydzień później John siedział w biurze i obserwował smętnie przez okno rozkołysane wiatrem liście.

- Jasne - mówił do telefonu. - Rozumiem, Wando, biznes to biznes. Może więc zjemy razem kolację? Aha. Do późna. No to nie ma sprawy.

Odłożył słuchawkę. Ze stosu korespondencji wyjął kopertę, zmiął ją i wyrzucił do śmieci. Potem to samo zrobił z drugą. Nie musiał czytać zawartości, żeby wiedzieć, że każda kolejna wiadomość od Wandy ma podobną treść co ta, nagrana na automatyczną sekretarkę.

„Wybacz, ale jestem zbyt zajęta. Umówmy się kiedy indziej.” „Kiedy indziej”... Tylko kiedy, do jasnej cholery!

- Spakuj to z nami, spakuj to z nami, spakuj to z nami... - Wanda powtarzała bez końca hasło reklamowe, licząc na to, że wreszcie wpadnie jej do głowy jakiś ciekawy pomysł na kampanię.

Czerwonym markerem nakreśliła grubą linię w poprzek kartki. Niby nic, a jednak początek jakiegoś pomysłu.

- Spakuj to z nami - powtórzyła.

- Dokładnie to samo przyszło mi do głowy - powiedziała Dusty. - Czas najwyższy, żebyś sama się spakowała.

Wanda odwróciła się i zobaczyła siostrę, która zaglądała jej przez ramię.

- Długo tu jesteś?

- Za długo. Ty zresztą też. Dostosuj się do rady klienta i spakuj ten interes. Wiesz, że nie zjadłaś dzisiaj lunchu?

- Po porcji lodów nie byłam już głodna.



- Wczoraj też nie zjadłaś lunchu, ani kolacji.  
- Mam napięte terminy. Za trzy dni muszę być gotowa.  
- Przepracujesz jeszcze dwa tygodnie, a będziesz się zachowywać gorzej niż John.

- Owszem. I taki mam plan. Muszę wywołać u niego zgrozę.

- No cóż, ja już jestem przerażona.

- Nie przejmuj się.

- Spróbuję - odparła Dusty. - A tak przy okazji, przed chwilą do ciebie to przyszło. - Wyciągnęła zza pleców owinięty kolorowym papierem i przewiązany złotą kokardą bukiet.

- Czerwone róże - westchnęła Wanda. - Znowu. Zaczyna na nie brakować miejsca.

- Skąd wiesz, że to róże?

Wanda wskazała pięć wazonów, wypełnionych ciasno czerwonymi różami. Rozerwała papier.

- A widzisz? - ucieszyła się Dusty i wyjęła wiązanekę. - To są astry i tulipany - purpurowe i niebieskie.

- Rzeczywiście! - Wanda spojrzała na kwiaty ze zdumieniem. - Coś takiego! Czyżby odważył się złamać konwencję? - Wzięła bukiet z rąk Dusty i ustawiła go starannie w wazonie na biurku.

- A telefony od niego nie były złamaniem konwencji? Czego ty od niego wymagasz, dziewczyno? Kiedy wreszcie przełamiesz się i umówisz z tym facetem? Pamiętaj, że chodzenie na randki było twoim pomysłem.

- Tak, tak. Pamiętam o tym. I będę się z nim umawiać, ale na razie mam mnóstwo roboty. John wie, że pójdziemy gdzieś, jak tylko znajdę chwilę czasu. Już mu to powiedziałam.

- W takim razie spodoba ci się dołączona do bukietu notka.

- Wysłał bilecik?

- Mhm. Cytuję: „Co robisz w sylwestra?” Koniec cytatu. Niezbyt optymistyczne, no nie?

- Jak tylko doprowadzę do końca ten projekt, zacznę następny. A kiedy go skończę... - Wanda zrobiła pauzę. - Wiem, istnieje ryzyko, że moje plany dadzą pewne skutki uboczne, ale...

- Skutki uboczne? Twoja najczarniejsza przepowiednia się spełni,

siostrzyczko. I nie będzie to wcale wina Johna. Jeśli nie ockniesz się w porę z tego transu i nie odstawisz tej roboty, przyszłość dopadnie cię prędzej niż myślisz. I tak samo szybko ucieknie ci sprzed nosa.

- No dobrze. Dostałam nauczkę. John chyba też, jeśli wziąć pod uwagę ten bukiet. Następnym razem, kiedy zadzwoni...

- Dlaczego sama do niego nie zadzwonisz? Wanda zamyśliła się.

- Racja. Właściwie dlaczego nie? - powiedziała, chwytając za telefon.

Ale telefon zadzwonił, zanim zdążyła go dotknąć.



RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dusty zapięła suwak na plecach pasiastej sukienki siostry, cofnęła się i zmarszczyła brwi.

- Sama nie wiem - mruknęła. - Moim zdaniem to nie wypali.

Wanda udała, że nie słyszy komentarza siostry. Przeglądała się w wielkim lustrze i podziwiała złotą suknię, która układała się na jej ciele tak, jak gdyby była drugą skórą. Każde zagłębienie i fałda materiału odbijały światło i połyskiwały złoceniem.

- No dobra. A teraz poważnie. Co o tym sądzisz? - zapytała.

- Myślę, że ta suknia lepiej wygląda na tobie, niż kiedykolwiek na mnie, co sprawia, że nie podoba mi się ten plan. -Dusty pokręciła sceptycznie głową. - Wyglądasz jak niezła przynęta dla rekina. Zdaje mi się, że twoja nasada nietykalności będzie tak samo skuteczna, jak kiedyś prohibicja. Pamiętaj, że tym razem nie będzie mnie przy tobie, i w razie czego cię nie uratuję.

- Przestrzeganie zasady nietykalności nie jest już konieczne. John wydaje się skory do zawarcia kompromisu. Na szczęście przestał liczyć na to, że mnie uwiedzie i rozwiąże tym samym wszystkie problemy. Nic mi nie grozi, Dusty.

- Przekonanie o niezatapialności doprowadziło do zatonięcia wielu statków.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Wanda zerknęła na zegarek.

- Widzisz, spóźnił się - powiedziała zadowolona. - Dotychczas zawsze był punktualny, a nawet przyjeżdżał przed czasem. On naprawdę się zmienił - dodała z uśmiechem, po czym popłynęła w powłóczystej sukni do drzwi.

Wanda ścisnęła nerwowo w dłoniach wieczorową torebkę. Siedziała wciśnięta w fotel samochodu i zastanawiała się, czy od razu wezmą ją za idiotkę, czy też dadzą najpierw odezwać się i wytłumaczyć.

- Powinieneś był mnie uprzedzić.

- Zrobiłem to. Mówiłem przecież o ludowym przedstawieniu -

radośnie odparł John, nie poruszony kwaśną miną Wandy.

- Ludowe przedstawienie nie zawsze odbywa się w oborze zaadaptowanej na teatr, z miejscami do siedzenia pomiędzy bydłem.

- O rany, myślałem, że wiesz, jak to wygląda. Przecież to ty jesteś artystką... Zawsze jesteś na bieżąco ze wszystkimi premierami.

- Nadal jednak sędzę, że powinieś był mi powiedzieć, do jakiego teatru się wybieramy. Nawet w ostatniej chwili. Widziałeś przecież, jak jestem ubrana. Nie dało ci to do myślenia?

- Myślałem, że najpierw pojedziemy do hotelu, żebyś mogła się przebrać.

- Do hotelu? Przecież ja mieszkam u Dusty. - Wanda poczuła, że się czerwieni. Rzeczywiście, kiedy zobaczyła Johna w bawełnianej bluzie i nowej parze dżinsów, od razu pomyślała, że mógłby ją zaprosić do hotelowego pokoju na lampkę szampana i odrobinę rozkoszy. - Powinieś był mi powiedzieć - powtórzyła cicho.

- Wyluzuj się, Wando. Na twoim miejscu w ogóle bym się nie przejmował. Obojętnie, co na siebie włożysz, i tak wyglądasz wspaniale. A w tej sukni jesteś wprost olśniewająca; Będę zazdrosny o każdego mężczyznę.

Wanda spojrzała na niego podejrzliwie. John nigdy nie prawil jej takich komplementów. Co najwyżej mruczał coś pod nosem, gdy pytała go, jak wygląda. W każdej innej sytuacji podskoczyłaby z radości, gdyby usłyszała od niego tak miłe słowa. Ale dzisiaj myślała tylko o tym, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za te komplementy. Zważywszy, że będzie musiała siedzieć na wilgotnej ziemi w ciasnej sukni i na wysokich obcasach - będzie to cena wysoka.

- I kto to w ogóle słyszał, żeby o tej porze roku wystawiać sztukę na zewnątrz!

- Nie kapujesz? To ostatnie przedstawienie w tym roku. Taki eksperyment. Chcą zobaczyć, ilu przyjdzie widzów. Jeśli frekwencja będzie wysoka, w przyszłym roku też przedłużą sezon. - John spojrzał na Wandę i puścił do niej oko. - To coś nowego. Pikanteria. Przełamywanie schematów.

Wanda westchnęła tylko i wyjrzała przez okno. Promienie słońca przedzierały się przez gałęzie drzew. Kiedy ściana listowia była zbyt

gęsta, słońce ginęło, kiedy indziej wyzierało zaś radośnie i paliło ostatnim, popołudniowym ciepłem.

- Nie byłoby szybciej, gdybyś pojechał autostradą? - zapytała. - Czemu tłuczysz się tą boczną drogą?

- Pomyślałem, że skoro i tak wyjechaliśmy wcześniej, to zrobimy sobie przejażdżkę. Pięknie tu, prawda?

- Prawda - przytaknęła. - John?

- Mhm?

- Spóźniłeś się do Dusty.

- Naprawdę? - zapytał bez zażenowania w głosie.

- Nie mów, że jeszcze nie naprawiłeś swojego zegarka.

- Ach, zegarek... Sam nie wiem, po co ludzie wymyślili zegary.

Wanda patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem. Wcale nie była pewna, czy taki właśnie John - rozbijającym wręcz beztroski - bardziej jej się podoba.

- John? O szóstej zaczyna się przedstawienie. Jak daleko jesteśmy?

- Zrelaksuj się; Jedziemy skrótem do autostrady. Zaraz będzie ostatni zakręt.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

John uśmiechnął się do niej, wyraźnie zadowolony z siebie.

- O ile dobrze pamiętam, zawsze narzekałaś, że jestem drętwy i pozbawiony fantazji.

- Dzisiaj byłabym skłonna ci to wybaczyć.

Pół godziny później wciąż jechali krętą leśną drogą.

- Zgubiliśmy się, John. Przyznaj się do tego. Ta droga wcale nie prowadzi do autostrady tylko w głąb lasu.

- Niewykluczone, że trochę się spóźnimy, ale i tak niewiele stracimy.

- Do diabła ze sztuką! Nie podoba mi się ten głuchy las! Nie mam zamiaru spędzić wieczoru na szukaniu drogi po-wrotnej.

Nagle samochód szarpnął i zakołysał się gwałtownie. Silnik zakaszłał i po chwili w kabinie zapanowała cisza.

- Coś się stało? - zapytała Wanda.

Samochód toczył się jeszcze jakieś sto metrów, a potem stanął. Wyrzała przez okno, lecz w zapadającym leśnym zmroku niewiele

dostrzegła. Na tle ciemniejszego nieba nawet sylwetki najbliższych drzew nie były zbyt wyraźne.

- Zgubiliśmy się, prawda? Zatrzymałeś się, bo się zgubiliśmy?

- Owszem, zgubiliśmy się. A zatrzymałem się, bo zabrakło nam benzyny.

- Co takiego?! - Wanda poczuła, że robi jej się słabo. Zabrakło benzyny! Ot, tak sobie! W środku leśnej głuszy! A jeśli w tym lesie są niedźwiedzie? Albo inne dzikie bestie - wygłodniałe i spragnione ludzkiej krwi?

A gdyby nawet nie było, to przecież i tak nie wiedzą, w którą stronę iść po pomoc!

Wanda wiedziała, że musi coś postanowić, ale z przerażenia nie mogła się skupić. W końcu zaświtała jej genialna myśl, a wraz z nią ogarnęła ją błogosławiona ulga.

Boże, co za szczęście że John ma jeszcze benzynę w kanistrze! Zawsze woził ją ze sobą, podobnie jak apteczkę, parasol i inne niezbędne rzeczy. Śmiała się z niego, ale proszę - to on miał rację.

Tylko po co ten cały cyrk? Czy świadomie chciał ją nastraszyć, zabawić się jej kosztem? Jak mógł to zrobić? I kiedy zacznie traktować ją poważnie?

Odwróciła się bokiem i przywierając plecami do drzwi, obserwowała, jak John kolejny raz przekręca kluczyk w stacyjce.

Bez skutku.

Strasznie śmieszne!

Zacisnęła w dłoniach torebkę, gotowa rzucić nią w męża.

- Dobra, John, koniec przedstawienia! Nie masz paliwa w kanistrze?

- A skąd! Nie mam ani kanistra, ani parasola, ani latarki. Żadnych narzędzi. Zacząłem zastanawiać się nad sobą i doszedłem do wniosku, że powinienem zmienić swoje przyzwyczajenia. Trzęsę się nad wszystkim jak galareta, jakbym miał lat sześćdziesiąt, a nie trzydzieści. Wyjąłem z samochodu wszystko poza apteczką. Szczerze mówiąc, pozbycie się tego ekwipunku sprawiło mi ogromną frajdę. Taka wyprawa to za każdym razem nowe wyzwanie. Co będzie, gdy coś mi się stanie, rozumiesz? - Podrapał się z zakłopotaniem po głowie. - Teraz jednak uważam, że nie było to zbyt mądre.



- Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłeś tego wszystkiego celowo?  
- Czego, Wando? Pytasz, czy specjalnie wywozłem cię w środek lasu, gdzie nikt nie przyjdzie nam z pomocą? Po co miałbym narażać nas na takie ryzyko? To raczej twoja specjalność, nie moja.

- Moja specjalność? Obraziłeś mnie, wiesz? Nigdy nie zachowywałbym się tak nieodpowiedzialnie. Przecież tu są dzikie zwierzęta! Mogą nas pożreć!

- Uspokój się. Przepraszam... Nie chciałem, żeby tak wyszło. Nikt nas nie pożre. Zaraz coś wymyślę.

- Twój telefon! - wrzasnęła Wanda, przypomniawszy sobie, że John zawsze ma przy sobie aparat komórkowy. Otworzyła schowek na dokumenty i zaczęła grzebać w nim gorączkowo. - Gdzie on jest?

- Powiedziałem ci już. Wyrzuciłem z samochodu wszystko poza apteczką. Mam tylko koce i koszyk, który został po naszym pikniku.

Wanda przyglądała mu się z niedowierzaniem. A więc naprawdę nie miał nic - ani benzyny, ani telefonu. Oczywiście, że uważała go kiedyś za sztywniaka, ale nie chciała też, żeby przekształcił się w lekkoducha. Jęknęła bezradnie i oparła się w fotelu.

- Chodź opowiedział John i otworzył drzwi. - Nie możemy tu zostać na noc.

- Dokąd niby mamy iść? Ja zostaję. Robi się ciemno.

- No właśnie. Robi się ciemno i dlatego sugeruję, żebyśmy poszli. To jest teren rekreacyjny. Na pewno są tu gdzieś jakieś działki, dachy, leśne chatki. Jeżeli teraz zaczniemy ich szukać, to łatwiej je znajdziemy.

- Znajdziemy najwyżej wygłodzonego niedźwiedzia. Nie, dzięki, John. Ja się stąd nie ruszam.

- No dobrze. Zostań w środku. Wrócę po ciebie, jak tylko coś znajdę - obiecał, po czym zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę lasu.

Wanda patrzyła, jak jego sylwetka rozplywa się w mroku. Po chwili była już sama. Usłyszała z tyłu nagły szelest i obejrzała się gwałtownie. Na szczęście to tylko wiatr, próbowała się uspokajać, zaraz jednak uświadomiła sobie, że wiatr nie może przecież kołysać jednym tylko krzewem. Gdy zaś z prawej strony dobiegł ją trzask, a po nim odgłos spadającej gałęzi, zmartwiała ze strachu.

- To nie wiatr - wyszeptała, gotowa do ucieczki. Którędy jednak

miałaby uciekać?

Nieważne. Byle dalej stąd!

Kiedy więc krzew znów zaszeleścił, szarpnęła drzwi i podwinawszy suknię do góry, pobiegła ścieżką, z całych sił nawołując Johna.

Za sobą słyszała kroki, szeleszczące na pokrytej liśćmi drodze, więc nie odwracając się, biegła dalej. Chciała uciec i nie patrzyła, dokąd biegnie. Gdy zorientowała się, że ze wszystkich stron otacza ją ściana lasu, zatrzymała się nagle. Wokół panowała kompletna ciemność.

Znów usłyszała zbliżające się kroki i znów puściła się pędem przed siebie.

Biegnij, kochanie! Uciekaj... Czy to Rocko tak do niej wołał?

- Którędy, którądy? - pytała siebie, oglądając się z lękiem na wszystkie strony.

Nieważne! Biegnij! Uciekaj...

Posłuchała wewnętrznego głosu i zaczęła biec. Wpadła na młode drzewko, którego gałęzie wplątały się jej we włosy. Jęknęła i po raz pierwszy w swoim życiu przeklęła naturę, że obdarzyła ją bujnymi lokami.

- Puszczaj!!! - wrzasnęła i pobiegła dalej, nie czując nawet, że zraniła czoło. Suknia już dawno była podarta, obcas złamany, lecz ona nie zważając na nic, przedzierała się przez gęstwinę drzew i kłujących krzewów.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie słysząc już biegnących za nią kroków. Umilkły równie niespodziewanie, jak się pojawiły. A może sama je sobie wymyśliła? Może to jej serce biło tak głośno, że zagłuszało wszystkie inne dźwięki?

Tak czy inaczej, zatrzymała się, bo nie była w stanie biec dalej. Czowała w piersi przeszywający ból i nie mogła złapać oddechu. Zgięła się w pół, położyła dłonie na kolanach i zaniosła się kaszlem.

- Wanda? Wszystko w porządku?

- O Boże! - krzyknęła, podskakując ze strachu. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Johnem. - Nigdy więcej tak mnie nie podchodź - sapnęła.

- Co się stało, Wando? Co ty tutaj robisz? Zostawiłem cię w samochodzie.

- Wiem, gdzie mnie zostawiłeś. Z tym potworem.
- Z jakim potworem? O czym ty mówisz?
- Uciekałam przed nim... Gonił mnie... John przytulił ją do siebie i mocno uściskał.

- Uspokój się, uspokój.
- Ale naprawdę mnie gonił...
- Kto?

Odwróciła się i wskazała palcem kierunek, z którego przybiegła.

- Nie wiem, co to było. Nie widziałam, tylko słyszałam. Tu... i tam... i tam,.. Zresztą, nie ma o czym mówić - powiedziała, zażenowana nagle własnym strachem i bezsilnością. Wpadła w histerię jak bohaterka telewizyjnego romansu na widok trupa w szafie. A miała siebie za kobietę odważną i nowoczesną!

Podniosła wzrok. Na twarzy Johna dojrzała niepokój. Szukał spojrzeniem ran, stłuczeń albo... oznak szaleństwa. Trudno było się mu dziwić. Wanda zdawała sobie sprawę, jak musi wyglądać - włosy potargane, oczy rozwarłe szeroko, jakby zobaczyła co najmniej wampira, ubranie podarte.

Przyglądziła je dłonią i wyjęła z włosów resztki liści.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Przestań tak na mnie patrzeć. Powiedz lepiej, co znalazłeś.

Nie odwracając wzroku od Wandy, wskazał palcem za siebie.

- Chatkę, niedaleko stąd.
- A pomoc?
- Nie. Tylko chatkę. Pustą.
- I co nam po pustej chatce?
- Mamy przynajmniej schronienie na noc. Temperatura na pewno spadnie do dziesięciu stopni. Przenocujemy tam razem. Chyba że naprawdę wolisz zostać w samochodzie.

Wanda wychodziła właśnie z szoku po usłyszeniu słów „Przenocujemy tam razem”, kiedy spostrzegła, że John odchodzi w kierunku samochodu. Nie zastanawiając się, pobięła za nim.

- Powiedziałeś, że chatka jest z drugiej strony. Po co więc wracasz do samochodu?

- Wprawdzie pozbyłem się wielu rzeczy, ale zostawiłem takie, które

teraz mogą się przydać.

Doszli do porzuconego auta, John otworzył bagażnik i pochylił się nad nim. Wanda przysunęła się do niego, czujnie nasłuchując podejrzanych dźwięków.

- Zobacz - odezwał się - mamy koc. A nawet jedzenie. Na sam dźwięk tego słowa zaczęło jej burczeć w brzuchu.

Nie zjadła lunchu w nadziei, że mała głodówka pozwoli jej lepiej wyglądać w obcisłej sukni Dusty.

- Widzisz, Wando? - mówił tymczasem John. - Oto niespodzianka, którą zgotował nam los. Uważaj, teraz będę działać spontanicznie. Przyznaj, że zawsze o tym marzyłaś. No, chodź już. Chatka jest za tamtym wzgórzem.

Posłusznie poszła za nim, choć nie widziała przed sobą żadnego wzgórza. Dopiero teraz zorientowała się, że w jednym z pantofli wciąż tkwi wysoki obcas. Ułamała go, by móc równo stawiać kroki, i westchnęła zrezygnowana.

Tak, ta randka z pewnością będzie inna niż wszystkie.

Kiedy szli przez las, dojrzała na niebie sierp księżyca, który roztoczył wokół mleczną poświatę. Drzewa nie były już teraz tak wielkie i gęste, na granatowym firmamencie pojawiły się białe obłoczki. Przerazające i ponure wcześniej miejsce przestało być straszne, zrobiło się piękne.

Małą chatkę Wanda dostrzegła niemal w ostatniej chwili.

- Nareszcie! - westchnęła z ulgą.  
- Zmęczyłaś się?  
- A ty nie? Marzę, żeby odpocząć. Chodźmy do środka. Myślę, że nie musimy pukać.  
- Poczekaj. Pomóż mi znaleźć jakiś kamień.  
- Po co ci kamień?  
- Muszę zbić szybę. Takie chatki po sezonie zamyka się na klucz. Zostawimy później pieniądze na naprawę i informację. O, jest! - zawołał, podrzucając w dłoń niewielki głaz.

Wanda zastąpiła mu drogę.

- Sprawdziłeś najpierw, czy drzwi na pewno są zamknięte?  
- A kto by zostawiał je otwarte?  
- Sprawdźmy. - Nacisnęła klamkę. Zamek puścił i drzwi się

otworzyły. - A widzisz?

John stał jak wmurowany. Nie mógł uwierzyć, że wejście okazało się takie łatwe.

- No, chodź do środka - zachęciła go. - Chyba nie sądzisz, że przeniosę cię przez próg?

Spodziewała się, że w środku będzie duszno i wilgotno, jak w większości nieużywanych przez dłuższy czas pomieszczeń. Tymczasem wewnątrz czuć było zapach farby i świeżo bejcowanego drewna.

Wanda wyjrzała przez okno. Za drzewami lśniła w srebrnym blasku księżycy tafla niewielkiego jeziora, zaś przy miniaturowym pomoście kołysała się zacumowana łódka. Idealne miejsce na romantyczne *rendez-vous*, pomyślała.

Odwróciła się, by dokładniej obejrzeć wnętrze. Pośrodku stał kominek, na wprost niego biała sofa. Z boku dostrzegła ciężki drewniany stół z czterema masywnymi krzesłami, za nimi w głębi - kuchenną wnękę.

- To pewnie salonik - powiedział John, stając za jej plecami. - Ładne miejsce, prawda, Wanda? Szkoda tylko, że nie ma ani elektryczności, ani ogrzewania. Mamy szczęście, że jest chociaż kominek. - Podchodził do kolejnych włączników i przyciskał je, oczekując efektu. - Zaczekaj, jest światło! - ożywił się na widok lampki, która rozbłysła na ganku po naciśnięciu ostatniego przycisku. - Pewnie wysiadły tylko żarówki wewnątrz. Jest też woda, sprawdziłem. Nie rozumiem, dlaczego ktoś nie powyłączał tego wszystkiego.

- Z tej samej przyczyny, dla której zostawił otwarte drzwi. Może ten ktoś spodziewał się wizyty nieproszonych gości.

- Niby kto? Leśny duch? - John roześmiał się półgębkiem.

W pierwszej chwili Wanda pomyślała, że w jego głosie słyszy nerwowość, jednak po tym, jak była przekonana, że goni ją potwór, nie dowierzała już własnym zmysłom.

Może John denerwował się tylko, że musiał wejść do czyjegoś domu bez pozwolenia?

Wkrótce w kominku zapłonął płomień, rozpalony sprawnie przez Johna, i pomieszczenie wypełniło się żółtawym światłem. Od razu zrobiło się cieplej i przytulniej. Cienie mebli zaokrągliły się, sofa nabrała

koloru i aż prosiła się teraz, żeby na niej usiąść.

Usiedli obok siebie na wprost ognia i zaczęli ogrzewać zziębnięte dłonie. W ciemnych oczach Johna odbijały się igrające na kominku ogniki, jego włosy lśniły w ciepłym blasku. Wanda wyobraziła sobie, że dotyka miękkich kosmyków i zrobiło się jej jeszcze cieplej.

Jak gdyby odgadując jej myśli, John odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Wanda wytrzymała to gorące spojrzenie. Widziała łagodne rysy jego twarzy, usta już nie nerwowo zaciśnięte, lecz odprężone i nieznacznie uśmiechnięte. Wpatrzona w ten uśmiech nie zauważyła, że John nie patrzy już w jej źrenice, a przesuwając wzrok niżej.

Zapomniała o żalach i pretensjach, opuścił ją gniew. Ciepły blask ognia na kominku zdawał się topić jej serce jak bryłkę lodu.



RS



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

John nie wiedział, co rozpala go bardziej - ogień czy Wanda.

Pewnie, że Wanda! W końcu te kilka kłoców drewna nie byłoby w stanie doprowadzić go do czerwoności.

Na razie jeszcze się kontrolował, nie był jednak pewien, czy długo zdoła panować nad sobą. Jeśli Wanda nadal będzie na niego tak patrzeć - to pewnie niezbyt długo. A przecież obiecywał sobie, że nie może być jaskiniowcem. Musi udowodnić żonie, że ją naprawdę kocha i szanuje. Oczekiwała tego od niego.

Musiał jakoś odwrócić od niej uwagę, zająć się czymś, ode-gnać pokusy. Przypomniał sobie o koszyku i nie odrywając oczu od oczu Wandy, powiedział rozsądnie:

- Ogień nas nie rozgrzeje, jeśli nie napelnimy brzuchów.
- Słucham? - Hm, nie zabrzmiało to jak wyznanie romantycznego kochanka.
- Nie wiedziałaś, że temperatura ciała spada, gdy człowiek jest głodny? - Johna nadal nie opuszczał praktyczny ton. - Przecież cały czas jesteś na diecie. Nie mów mi, że nie wiedziałaś.

Czuł, że gada bzdury. Wanda patrzyła teraz na niego jak na niegroźnego idiotę. Cokolwiek namiętnego kryło się przedtem w jej mglistym spojrzeniu, teraz zniknęło w okamgnieniu.

- A co będziemy robić, kiedy już się najemy? - zapytała drwiąco.
- Pójdziemy spać. Na górze, w sypialni, jest pewnie zimno, zostaniemy więc tutaj, przy kominku. - Poklepał sofę. - Wygląda na wygodną, prawda? Może nie jest to królewskie łóżko, ale zawsze coś.
- Rozumiem. Zakładasz więc, że będziemy spali w jednym łóżku?
- Tak będzie nam cieplej. Temperatura w nocy ma spaść...
- Wiem, do dziesięciu stopni.
- A nawet poniżej.

Wanda przechyliła głowę i spojrzała na Johna. Nie wiedział, jak ma rozumieć jej wyraz twarzy. Nie była to złość, ale i nie zachwyt. Wanda

czekała na wyjaśnienia. Zawsze robiła taką minę, kiedy John zbyt późno wracał do domu, a potem próbował się tłumaczyć.

Chociaż nie. Tym razem było w jej spojrzeniu coś jeszcze. Tak, jej oczy zdawały się uśmiechać, patrzeć życzliwiej niż ostatnio! Może jednak uda mu się ją uwieść, oczywiście łagodnie i delikatnie, z szacunkiem i tak, żeby wiedziała, iż wszystkie jej problemy są mu bliskie i chciałby je rozwiązać.

Cholera, ale jak niby konkretnie miałyby to wyglądać?

Co to znaczy „uwieść z szacunkiem”?

Westchnął cicho i otworzył wieczko koszyka z prowiantem. Jego zawartość nie nadawała się wprawdzie na królewską ucztę, ale zawsze było to lepsze niż nic. Wyjął ze środka dwie butelki wina, winogrona, ser i dwa bochenki francuskiego chleba. Ustawił na serwetce świecznik, ułożył sztucce i zastawę. Z początku nie był przekonany, czy dobrze robi, demonstrując Wandzie porcelanowe talerze, których mogłaby użyć jako amunicji, ale przecież on, jej mąż, będzie robić wszystko, żeby jej nie zdenerwować, więc nie powinien się jej obawiać.

- Jak zwykle zorganizowany i na wszystko przygotowany - pochwaliła go Wanda.

- Pomyślałem sobie - uśmiechnął się, niepewny, czy to pochwała, czy kpina - że tak będzie ładniej. Sztuka na trawie, wino w kieliszkach, i tak dalej... - Odkorkował pierwszą butelkę i napełnił szkła.

- Miałaś rację. Rzeczywiście ładnie to wygląda. - Ujęła kieliszek i spojrzała na niego przez rubinowy trunek.

John wyciągnął dłoń i stuknął lekko szkłem o szkło.

- Za te małe niespodzianki, które tak bardzo lubisz!

Spełnili toast i zaraz potem nagły podmuch wiatru uderzył w okno i zahuczał w kominie. Płomień w kominku zadrgał, ale po chwili odzyskał moc. Za to chmury na niebie zgęstniały, zakryły bryłę księżyca i prysnęły gdzieś czar księżycowej nocy.

Na dworze zapanowała kompletna ciemność, rozświetlana jedynie mdlą lampką na ganku. Jeszcze chwila i zaczął sypać śnieg. Białe płatki wirowały i opadały na ziemię, tworząc biały dywan, a gdy przykryły już wszystko, zaczęło sypać nie na żarty i rozpętała się prawdziwa burza śnieżna.

- Tylko nie to! - Wanda spojrzała z obawą przez okno.
- W tej okolicy śnieg spada dość wcześnie.
- Tak. I zawsze opady są obfite. Utkniemy tu do wiosny. -

Spokojnie, Wando. To tylko przelotny śnieżek. Stopnieje, zanim się obejrzysz - John próbował ratować atmosferę romantycznego wieczoru we dwoje. Do diabła z pogodą! W końcu umówił się na tę randkę, by dać Wandzie rozkosz, przekonać ją do siebie i uratować ich związek. - Spokojnie - powtarzał - nic nam nie grozi...

Ale Wanda trzęsała się jak trusia i wcale nie był przekonany, że drży z oczekiwania, nie mogąc doczekać się, kiedy on weźmie ją w ramiona. Przytulił ją do siebie - nie zaprotestowała; Wręcz przeciwnie. Przywarła do niego jeszcze bliżej! Ścisnął uspokajająco jej ramię i zaczął je masować.

- Wykorzystajmy, kochanie, nastrój tej chatki, nastrój wina, ognia w kominku... - przemawiał do niej, chcąc oczarować ją brzmieniem romantycznych słówek.

- Jasne. Brakuje nam tylko pieczonych jabłek. Wyciągnął patyk ze skrzynki na drewno, owinał jeden jego koniec serwetką, a na drugi nadział dwa jabłka i włożył je w płomień. Kiedy po chwili je wyjął, ze spalonej skórki posypał się popiół.

- No tak, to był zawsze mój problem - uśmiechnął się. - Nawet jako harcerz przypalałem jabłka nad ogniskiem.

Wciąż była nieco sceptyczna i nie do końca przekonana, że ma się cieszyć z tego, że porzuconą w środku puszczy chatkę przysypuje właśnie śnieg, ale odwzajemniła uśmiech. Po chwili zaś... Boże, tak! Położyła głowę ca jego piersi!

John triumfował.

- Pomyśl, wokół burza, a my tutaj, bezpieczni i szczęśliwi, bo grzeje nas miłość. Nie zmarzlibyśmy nawet pod namiotem.

- Wybacz, John. Nigdy nie zabrałabym cię pod namiot.

- Fakt, nie cierpię namiotów, bo trzeba spać w oddzielnych śpiworach. - Spojrzał na nią filuternie.

- Nie zawsze. - Podniosła wzrok.

Och, tak bardzo pragnął jej dotknąć, przesunąć dłonią po tej rozświetlonej płomieniem twarzy. Ale jeszcze nie śmiał. Spokojnie,

powtarzał sobie. Tylko spokojnie, Rocko. Nie wrywaj się za wcześnie, bo będzie falstart.

I właśnie wtedy, gdy próbował poskromić własne zapędy, Wanda rozchyliła usta i wyszeptała cichutko jego imię. Z wrażenia aż zakręciło mu się w głowie. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć albo powiedzieć, ich usta zetknęły się już w namiętym pocałunku.

Boże, czy nie za wcześnie? Czy nie powie mu znowu, że zaciągnął ją do łóżka, żeby zamknąć jej usta i zagłuszyć wątpliwości? Przecież jeszcze niczego sobie nie powiedzieli, przecież mieli porozmawiać...

Tak, musi zatrzymać to, zanim będzie za późno.

- Wando... - zaczął. - Muszę ci coś powiedzieć.

Ale Wanda nie słuchała, jej zamglone pożądaniem oczy nie wyrażały już niczego poza prośbą o rozkosz. John bardzo chciał spełnić tę prośbę. Każdy jego nerw tego pragnął, ale najpierw musiał jej coś wyjaśnić.

- Wando...

- Potem. Powiesz mi potem. - Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła do siebie jego twarz. - Potem...

- Potem - powtórzył, mając nadzieję, że uda mu się później wszystko wytłumaczyć. Nakrył jej usta i zanurzył się w odmętach rozkoszy.

Wanda zaś od początku wiedziała, że John chce ją pocałować. Wiedziała również, że nie powinna mu na to pozwolić, choć teraz nie mogła już sobie przypomnieć dlaczego. Czuła na twarzy jego ciepły, zaprawiony winem oddech i coraz bardziej kręciło jej się w głowie na myśl o mających jeszcze nadejść rozkoszach.

Zamknęła oczy. Jak echo dotarły do niej jego słowa: „muszę ci coś powiedzieć.” Co chciał powiedzieć? Przecież wiedziała już wszystko.

Wtulila się mocniej w jego tors, a on przycisnął ją żarliwie do muskularnego, twardego ciała i pocałował z namiętnością, jakiej u niego nie znała. Ogarnęło ją niewysłowione szczęście. Czuła się jak zbłąkana dusza, która po długiej wędrówce dotarła wreszcie do upragnionego celu. Wreszcie była bezpieczna.

Uniosła głowę i spojrzała mężowi w oczy. Zdążył zdjąć okulary, wyglądały więc teraz tak, jak zapamiętała je z ich pierwszego spotkania przed dziesięciu laty. Były jak krystalicznie czysty staw, który zaprasza do ożywczej kąpieli.

Teraz ich życie na pewno się zmieni. Była tego pewna. Była pewna, że John zrozumiał wreszcie, co tak desperacko chciała mu powiedzieć i udowodnić. Już nie obawiała się, że zostawi jej dla interesów, klientów i wciąż niesytych ambicji. Ich małżeństwu nie zagrażało już nic. Byli uratowani.

- Kocham cię, John - wyszeptała.

Jej ukochany mąż pochylił głowę i przycisnął twarz do jej piersi. Poczuła, że rozsuwa zamek na plecach i zadrżała w oczekiwaniu kolejnych pieszczot. Po chwili suknia zsunęła się do talii, a nagą skórę zaczęło pieścić ciepło igrających w kominku płomieni. I ciepło czułych, delikatnych warg.

Zadrżała z pożądania, które wypełniło naraz wszystkie zakątki jej ciała. Pożądała Johna, pragnęła go. Natychmiast!

Mruknęła ponagląco i sięgnęła do suwaka jego dzinsów, John zaś wydał z siebie zduszony, gardłowy jęk, a potem syknął z rozkoszy, gdy chwyciła delikatnie w dłonie jego nabrzmiałą, gorącą męskość i zaczęła delikatnie pieścić.

Była gotowa. Wśliznęła się pod niego, zakołysała biodrami i wprowadziła go do środka.

Do domu.

W zagubionej wśród lasów chatce Wanda wreszcie wróciła do domu.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Och, Wando, Wando... nigdy jeszcze... nie pragnąłem ciebie... tak bardzo... tak bardzo...

Wanda westchnęła z lubością i z błogim uśmiechem poddawała się kolejnym ciosom rozkoszy. Pojękiwała leciutko, podawała mu biodra, falowała pod nim w rytmicznym kołysaniu. Od miesiący tęsknił za tym widokiem, za tym dźwiękiem. Teraz nic już się nie liczyło - ani Jackson, ani kariera, ani jego własne plany. Teraz wreszcie mógł powiedzieć jej wszystko, a potem zabrać ją do domu. Na zawsze.

Rozumiem, kochana. Teraz cię rozumiem, powtarzał w myślach. Był gotów powiedzieć to na głos, ale brakło mu tchu, więc tłumaczył się Wandzie mową pocałunków i pieszczot.

A ona oddawała te pieszczoty chętnie i żarliwie. Dyszała mu w ramię, otwierała usta, jakby chciała zaczerpnąć powietrza, oplatała i ścisnęła nogami jego plecy. Gwałtowność i pożądlivość, z jaką to robiła, wyzwalały w Johnie jakąś pierwotną dzikość. Chciał się poruszać powoli i delikatnie, żeby rozkoszować się każdą chwilą, każdym doznaniem, ale już wiedział, że nie zdoła się powstrzymać, że podda się tej burzy, która zawładnęła obojgiem złączonych ciał.

Poruszał się coraz mocniej, coraz szybciej. Kiedy zaś desperackim ruchem wbił się w nią po raz ostatni, było to tak, jakby wzbił się do lotu i poszybował ku słońcu. Czuł, jak Wanda zadrżała w ostatecznym spazmie spełnienia, a potem, uwolniona, dołączyła do niego i stali się jedno.

Długo jeszcze wirowali pod niebem i powoli opadali na ziemię.

Wanda otworzyła oczy w nadziei, że zobaczy raj. Zamiast niego ujrzała jednak muskularną pierś męża. Uśmiechnęła się do siebie. Jeszcze nigdy tak się z nią nie kochał - z taką fantazją i pasją! Ona też zupełnie zatraciła się w jego ramionach.

Teraz, nasycona i szczęśliwa, nadal spoczywała w ciasnych



mężowskich objęciach. Nie mogła się poruszyć i wcale tego nie chciała. Leżała spokojnie i rozkoszowała się bliskością mężczyzny jej życia, John zaś spał z dłonią na jej pośladku. Wsłuchiwała się w jego spokojny oddech i cieszyła myślą, że znowu znalazła się w domu.

Nagle podniosła się i delikatnie zepchnęła go z siebie. Jęknął cichutko, a ona, patrząc na niego, nie mogła powstrzymać radosnego chichotu.

Takiego Johna nie widziała jeszcze nigdy. Wokół kostki zwisała mu bielizna i dżinsy, do połowy przykrywając skarpetkę, której nie zdążył zdjąć w miłosnym porywie. Wokół szyi owinięty miał potargany sweter i choć był do siebie zupełnie niepodobny, zdaniem Wandy nigdy nie wyglądał bardziej seksownie.

Dotknęła jego ramienia, a wtedy otworzył oczy, potem je zmrużył, oślepiony blaskiem, po czym zmarszczył czoło, niepewny, jak ma traktować śmiech, który go przebudził.

- Nie śmieję się z ciebie, kochany - odezwała się czule. - Ja po prostu... - zrobiła pauzę - kocham twój nowy wygląd.

John wzruszył ramionami i zdobył się na leniwy uśmiech, który tak dobrze znała.

- Ty też nie jesteś ubrana jak na wykwintny bal. Spojrzała na siebie i parsknęła śmiechem. Wspaniała suknia

Dusty opasała teraz jej talię jak szeroka wstęga, od pasa w górę Wanda była zaś naga. W zasadzie jedyną okrytą częścią ciała były jej stopy, odziane w koronkowe pończochy, których nie zdążyła zdjąć.

- Powiedz mi - poprosiła - czy do kolacji powinniśmy się ubrać, czy rozebrać.

- Po co w ogóle robić cokolwiek? - John ściągnął z sofy wełnianą narzutę, okrył nią siebie i Wandę, po czym podał jej kawałek sera.

Po jedzeniu nie było dużo do sprzątnięcia. Talerze były nie tknięte i oprócz paru okruszków oraz śladu po winie na kieliszkach nic nie przypominało bałaganu po ostatnim pikniku w parku. Wanda i John oparli się plecami o sofę i rzucili monetą, kto pierwszy ma wziąć prysznic. Wygrała Wanda. Weszła do łazienki z mocnym postanowieniem, że będzie to najszybszy prysznic na świecie.

Kiedy po kilku minutach wróciła do pokoju, sofa była już rozłożona i

okryta kocem, przez poręcze krzeseł zwieszały się zaś schludnie złożone ubrania - jej oraz Johna.

- Dopiero teraz doceniam zalety bycia żoną starego harcerza.

John uśmiechnął się, pocałował ją w czoło i poszedł do łazienki. Kiedy została sama, spojrzała w ogień, na płomienie, pieszczące kłoc drewna. To jakieś czary, myślała. Rozwiązanie problemu przyszło tak nagle, tak niespodziewanie, że sama by tego lepiej nie wymyśliła. Najwspanialsze zaś w tym wszystkim było to, że ten wieczór wcale nie był zaplanowany - i dlatego właśnie tak doskonały i cudowny!

Żadnych głupich, wysilanych randek, żadnego udawania, żadnych podchodów. Wystarczył ciemny las, samotna chatka i płonące drewno na kominku, a oboje zrozumieli, czego im było brak - spontaniczności, namiętności, poczucia, że na całym świecie są tylko oni: John i Wanda, mąż i żona.

Na wspomnienie niedawnej rozkoszy zapiekła ją skóra. Nie. Zapiekła ją od ognia. Musiała zbyt długo stać przed kominkiem.

Szybko wśliznęła się pod koc i ze wzrokiem utkwionym na drzwiach do łazienki oczekiwała powrotu Johna. Po chwili wyszedł i czym prędzej podbiegł do kominka, by ogrzać i wysuszyć mokre ciało. Żłociste płomienie oświetlały jego nagą sylwetkę, a Wanda patrzyła na tę scenę z niemą fascynacją. Kiedy się odwrócił i podszedł do niej, dotknęła palcem jego wilgotnej klatki piersiowej, zsunęła dłoń na brzuch, a potem jeszcze niżej. Ich spojrzenia znów się spotkały.

- Au! - John złapał się nagle za pośladki i uskoczył w bok. - Przypalam w ogniu nie tylko jabłka - powiedział, spoglądając na ogień i masując się z tyłu.

- Nie daję gwarancji, że tu będzie chłodniej. - Wanda uniosła koc zapraszającym gestem.

Ułożył się przy niej jednym susem, a potem zaczął łaskotać ją i całować, aż ich wspólny chichot wypełnił cały pokój.

- Przestań! John, przestań wreszcie! - Wanda krzyczała resztką sił. - Jesteś wariat!

W końcu zlitował się nad nią i ułożył, wycieńczoną, w swoich ramionach.

- O Boże! Ależ ty jesteś dzikus! Nie znałam cię dobrze.

- To jeszcze jeden powód, żeby nie zabierać mnie pod namiot.

Czasami zamieniam się w zwierzę.

- Kim ty właściwie jesteś? Co się stało z moim mężem?

- Z tamtym starym rupieciem? Nie przejmuj się, kochanie. Szef kazał nam się nim zająć, więc nie będzie cię już niepokoił.

- Ach tak? - powiedziała z odrobiną nostalgii. - Więc on już nie wróci?

John zmarszczył brwi. W jego oczach widać było niepokój.

- Jesteś rozczarowana?

Pokręciła głową i wysunęła ręce spod koca. Wzięła w dłonie jego twarz i powoli przyciągnęła ją do siebie. Poczowała zapach wody po goleniu i mydła. Zaciągnęła się tą wonią i rozchyliła usta. John musnął je swoimi wargami i po chwili zaczęli od nowa tę grę, w której nie ma pokonanych, a tylko sami zwycięzcy.

Wanda zamknęła oczy. Pragnęła, żeby ta noc nigdy się nie skończyła.

- Niech to trwa, John - szepnęła.
- Niech trwa, aż do świtu.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy Wanda obudziła się następnego ranka, nie wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje. Po chwili jednak przypomniała sobie noc miłości i cudownych odkryć i uśmiechnęła się do siebie z błogim rozmarzeniem.

John, pomyślała ze słodyczą w sercu. Odzyskałam Johna.

Odwróciła się, żeby go objąć, lecz łóżko po drugiej stronie było puste.

Natychmiast usiadła i rozejrzała się wokół.

- John? - zawołała.

Jej głos odbił się echem w pustym wnętrzu.

Spojrzała w stronę kominka. Ogień już wygasł, co wyjaśniło panujący w pokoju chłód. Szybko przeniosła wzrok na kuchenne krzesła. Na jednym wisiała jej suknia, drugie było puste.

- John! - zawołała raz jeszcze. Upewniła się, że nie ma go pod prysznicem, ani że jej nie słyszy, po czym owinęła się w koc, wstała i zaczęła go szukać. Zapukała do łazienki, lecz ta była pusta. Nie było go też w sypialni.

- No więc gdzie jest? - zapytała siebie na głos.

Promienie słoneczne wdarły się przez okna i radosnym blaskiem zalały cały pokój, jednak ona wcale nie była w radosnym nastroju. Zastanawiała się, dlaczego John zostawił ją samą, w cudzym łóżku i w cudzym domu.

A gdyby nagle pojawił się właściciel chaty? Co wtedy? Jak wyjaśniłaby mu swoją obecność?

Wyjrzała przez okno na skąpany w słońcu las. Na szczęście nie spełniły się jej obawy i na dworze leżała tylko cienka warstwa śniegu. Przy pomoście nadal stała łódka, jezioro falowało leciutko, poruszane łagodnym powiewem.

Nagle na przeciwległym brzegu, wśród sosen, Wanda dostrzegła inną chatkę, której wcześniej nie zauważyła. Starszy mężczyzna z wędką w dłoni podszedł do kobiety o zaokrąglonych kształtach, która czekała na końcu pomostu. Chwyciła go pod rękę i odeszła wraz z nim krętą drogą

w kierunku położonego na wysokim brzegu domku.

Wzruszył ją ten obrazek. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie siebie i Johna jako parę staruszków. Ciekawe, czy za kilkadziesiąt lat wciąż będą się darzyć takim uczuciem, jak teraz. Po ostatniej nocy mogłaby bez wahania powiedzieć, że tak.

Wtem para, którą obserwowowała, odwróciła się i spojrzała w jej kierunku. Wanda cofnęła się odruchowo. Zastanawiała się, czy ją dostrzegli.

Nie, raczej nie. Słońce odbijało się od szyb i trudno byłoby cokolwiek dostrzec z tej odległości. Ale właśnie wtedy, gdy tak pomyślała, mężczyzna wskazał palcem chatę, w której była Wanda.

Podskoczyła, zebrała koc i szybko odeszła w głąb salonu. Jeszcze tego brakowało, żeby nakryli ją sąsiedzi właściciela! O ile wczoraj wieczorem z radością powitałaby pomoc, o tyle dzisiaj, w dziennym świetle, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Już samo wyjaśnianie właścicielowi, dlaczego się tutaj znalazła, byłoby krępujące. A co dopiero tłumaczenie się przed małomiasteczkowym szeryfem, gdyby gorliwi sąsiedzi zdecydowali się wezwać policję! Noc spędzona w obcej chatce to jedna rzecz, ale nocleg w policyjnym areszcie...

Na myśl o takiej perspektywie poczuła się nieswojo. Tylko spokojnie, mówiła sobie w duchu. Jeszcze nic się nie stało. Pomyśl, jak w takiej sytuacji zachowałby się John. Logicznie. Przede wszystkim rozsądnie i logicznie. Najprawdopodobniej ci ludzie wcale jej nie zauważyli, a jeśli nawet, to niemożliwe, żeby z takiej odległości byli w stanie dostrzec szczegóły. Osoba w chatce mogła być dla nich kimkolwiek - gościem albo nawet samym właścicielem. Jeśli zaś rzeczywiście wzbudziła ich podejrzania, to przecież wcale nie jest powiedziane, że od razu rozpoczną śledztwo.

Odetchnęła głęboko. Tak, naprawdę nie ma powodu, by wpadać w panikę. Lepiej będzie poszukać Johna. Bo przecież musi być gdzieś w pobliżu.

Podeszła do stołu i zdjęła z krzesła suknię. Kątem oka dostrzegła leżącą obok sukni kartkę. Podniosła ją i przeczytała:

*Poszedłem po benzynę. Do głównej drogi nie jest daleko, więc*

*niedługo powinienem wrócić. Nie miałem serca cię budzić, a gdybym zbudził...*

*No cóż, wtedy na pewno nie poszedłbym szukać śladów cywilizacji. Kocham cię.*

A więc John poszedł po paliwo. Wanda uśmiechnęła się do siebie. John bohater, wieczny harcerz, odpowiedzialny mąż i opiekun. Czy takim też będzie ojcem? Musiała przyznać, że był czarujący, i że słusznie zrobił, nie budząc jej zbyt wcześnie. Chociaż gdyby wyrwał ją pocałunkami ze snu...

Owinęła się ciasniej kocem. Póki co nie miała przy sobie Johna i żeby nie zamarznąć, musiała myśleć praktycznie. Przede wszystkim trzeba było ogrzać pokój. No tak, ale jeśli rozpali ogień, to w kominie pojawi się dym. Tego sąsiedzi na pewno nie przeoczą. Z drugiej jednak strony dym z komina to najlepszy znak, że w chatce nie dzieje się nic złego. Zresztą, kto by tak naprawdę zwracał uwagę na malutki leśny domek, uznała i ostatecznie zdecydowała się rozpaść w kominku.

Rzuciła suknię na stół, uklękła przed paleniskiem i wrzuciła do środka parę drewna. Zapaliła zapałkę i cisnęła ją na wierzch nieforemnego stosu. Bez skutku. Zapaliła drugą i patrzyła, jak cienki patyczek płonie chwilę, a potem gaśnie jak poprzedni.

Po piątej próbie miała ochotę wrzucić do kominka wszystkie zapałki, a następnie je podpalić. Zamiast jednak to zrobić, postanowiła wypróbować metodę Johna. Przypomniała sobie jego czynności z poprzedniego wieczora, po czym ułożyła na spodzie nowego stosu trochę chrustu, potem kilka gałązek, a dopiero na koniec grubsze polana.

Teraz drewno zajęło się już przy pierwszej próbie.

Hm, to jednak dobrze, że John nie jest tylko szalonym kochankiem i obdarzonym nieskrępowaną wyobraźnią artystą, ale też przewidującym pragmatykiem i racjonalistą. Czasem przydaje się ten jego trzeźwy umysł. Zamyśliła się, czy sama nie powinna stać się bardziej uporządkowana, rozsądna i konsekwentna, naturalnie nie do przesady. Postanowiła zacząć zmiany już teraz i w pamięci wyliczyła rzeczy, które musi zrobić - prysznic, sprzątnięcie pokoju, sprawdzenie, ile jedzenia zostało po wczorajszej kolacji.

Podniosła ze stołu suknię i pokręciła głową z rozbawieniem.



Przechadzanie się po leśnej chatce w takim stroju byłoby niewygodne i śmieszne. W sumie szkoda, że nie zdecydowała się na bardziej uniwersalny strój. Skąd jednak mogła wiedzieć, że nie wróci na noc do Dusty? W końcu nie sądziła, że spędzi noc z Johnem i że padnie ofiarą własnej spontaniczności.

„Ofiarą”? Nie, nie, to nie najlepsze słowo, poprawiła się w myślach. Raczej „szczęściarą”. Szczęściarą, która trafiła szóstkę w totolotka!

I pomyśleć, że po miesiącach zmagania, po wszystkich tych złościwościach, pretensjach i urazach wszystko tak niespodziewanie i łatwo się wyjaśniło. Teraz, kiedy znów byli zakochaną, szczęśliwą parą, będzie mogła odebrać od Dusty swoje rzeczy i pojechać z Johnem do domu. Bo teraz nic już nie zakłóci ich życia, a przynajmniej nic, z czym nie będą sobie mogli sami poradzić.

Głośne burczenie w brzuchu przerwało jej rozmyślania. Zjedzenie czegokolwiek stało się nagle ważniejsze niż prysznic. Wanda przeszukała kuchnię, ale niestety niczego nie znalazła. To zaś, co pozostało po wczorajszej kolacji, nie nadawało się już do jedzenia. Mogła mieć tylko nadzieję, że John będzie miał więcej szczęścia w poszukiwaniu stacji benzynowej, niż ona w szukaniu pożywienia. Zresztą, pocieszyła się, nawet gdyby nie udało mu się znaleźć żadnej stacji, i tak nie umrą z głodu. Zawsze można przecież pójść na ryby.

O właśnie, jak ten ktoś, kto wybrał się na połów motorówką, pomyślała, słysząc dochodzący od strony jeziora hałas spalinowego silnika. Wyrzała przez okno i zauważyła, że motorówka podpływa właśnie do pomostu w pobliżu chatki.

Jej chatki!

Boże, co teraz?

W przerażeniu patrzyła, jak mężczyzna, ten sam, którego dojrzała na drugim brzegu, wdrapuje się na deski i pomaga wyjść z łódki znacznie większej od siebie żonie. Obydwoje nie wydawali się już tacy czarujący. Wręcz przeciwnie - na ich widok Wanda poczuła niepokój.

Jeszcze chwilę stała nieruchomo przy oknie, a zaraz potem odwróciła się, by uciec. Wiedziała, że musi uciekać, nie wiedziała tylko dokąd. Teren był odkryty i nie mogła liczyć na to, że przemknie nie zauważona,

zwłaszcza że para staruszków była coraz bliżej.

W desperacji pomyślała, że najlepszą kryjówką będzie miejsce za sofą. Odwróciła się, by tam właśnie się skryć, gdy nagle zaplątała się w koc i runęła na ziemię jak długa. Koszyk wypadł jej z rąk, talerze rozbiły się na kawałki, a brzęk tłuczonego szkła zakłócił leśną ciszę.

Teraz nie miała już szans na ucieczkę.

Usłyszała pukanie w szybę i zamarła w bezruchu. Za przeszkloną ścianą, w blasku porannego słońca, zobaczyła parę sąsiadów. Było już za późno, żeby się ukryć, i za późno, żeby wymyślić jakieś wiarygodne alibi. Mogła mieć tylko nadzieję, że przybysze uwierzą w jej wyjaśnienia.

- Ojej! - powiedział mężczyzna, kiedy Wanda uchyliła drzwi, i odwrócił się do żony. - Czyż ona nie jest śliczna?

Śliczna?

Wanda zamrugnęła ze zdziwienia oczami i spojrzała w błyszczące źrenice staruszka. Czy przyłapaną na gorącym uczynku złodziejkę można nazwać śliczną?

- Przyszedłem tutaj, żeby panią poznać - odezwał się niepewnie mężczyzna.

- Nie mógł się powstrzymać - dodała jego żona i pokręciła głową, jakby mówiła o małym chłopcu. - Przyszłam z nim, bo muszę dopilnować, żeby zaraz sobie stąd poszedł. Zobacz tylko

- zwróciła się do męża - biedna dziewczyna nawet nie jest ubrana.

- Nie szkodzi. Ma na sobie koc - zauważył. - Od nowożeńców nie można wymagać więcej. Pamiętasz naszą noc poślubną? - Brwi mężczyzny zatańczyły figlarnie.

- Pojechaliśmy pod namiot. A był luty. - Kobieta uśmiechnęła się do Wandy. - Ale i wy wybraliście sobie porę. Ech, nowożeńcy, zawsze tak samo niepoprawni...

- Nowożeńcy? To pomyłka. - Wanda chciała wyjaśnić, że znają się z Johnem od dziesięciu lat, lecz staruszek nie dał jej dokończyć.

- Och, znamy wasz mały sekrecik, ptaszyno. Znamy, znamy... Larry zamknął już swoją chatkę po sezonie, więc kiedy zobaczyliśmy go tutaj w zeszłym tygodniu, przyплыnęliśmy łódką, żeby pogadać. A wtedy on wszystko nam powiedział - że musi zostawić światło i wodę, bo ma

zamiar wynająć chatkę znajomym nowożeńcom.

- Larry? - Wanda poczuła niemiłe klucie w żołądku. - Jaki Larry?
- Larry Shu, właściciel tej chaty.
- Ten sam, który prosił, żeby nie przeszkadzać młodej parze.
- Kobieta znacząco spojrzała na męża.
- Ojej... A kto mówi o przeszkadzaniu? Jesteśmy w końcu sąsiadami.

Czy stary człowiek nie może przynieść prezentu młodej parze? - Uniósł w górę dwa pstrągi.

Wanda zamknęła oczy. Czowała, że zaraz zemdleje.

- Zabierz te ryby sprzed jej twarzy! - Kobieta skarciła męża.
- Zrobi jej się niedobrze.
- Nie, nie. Czuję się doskonale. Proszę... Proszę wejść - Wanda

próbowała nie poddać się rozpachy ściskającej jej serce. - Proszę się rozgościć, a ja w tym czasie się przebiorę. Porozmawiamy o Larrym, dobrze?

Wanda patrzyła tępo, jak jej goście odbijają od pomostu. Czowała się fatalnie. Jej ciało wypełniał dokuczliwy chłód i zmęczenie, udręczony umysł drażyła zaś jedna myśl: jak John mógł jej to zrobić?

Łajdak! Przez cały czas stroił sobie z niej żarty. Oszukiwał ją. Nie brał poważnie jej uwag. Czy to nie w jego stylu - zrobić dobre wrażenie, obiecać coś, a potem wrócić do domu i dalej zachowywać się po staremu? Przecież zawsze w podobnych sytuacjach ciągnął ją do łóżka, a ona godziła się na ten substytut prawdziwej rozmowy - i prawdziwej miłości.

Oklamał ją! Cały ten niby spontaniczny wieczór był od początku do końca zaplanowany, sztuczny i fałszywy. Najpierw ta droga donikąd, potem brak paliwa, dziwne pustki w bagażniku. .. Wszystko od początku zaplanowane!

Och, Boże! Kłamstwa, kłamstwa, same kłamstwa!

Pewnie nie było nawet żadnego przedstawienia na świeżym powietrzu. Bo kto to słyszał, żeby o tej porze roku wystawiano sztuki na dworze. Powinna była to sprawdzić, ale z drugiej strony dlaczego miałyby to robić? Gdyby ktokolwiek inny zapraszał ją na sztukę na trawie, pomyślałaby, że to jakaś pomyłka. Ktokolwiek, ale nie John. John wszystko sprawdzał trzy razy i nigdy się nie mylił. Pod tym

względem zawsze mogła na nim polegać.

I tylko pod tym.

Przeszył ją lodowaty dreszcz, a żołądek ścisnął się w bolesnym skurczu. Wanda poczuła nagłą słabość. Nie, tylko nie to. Nie może zemdleć jak bohaterka taniego romansu. John wkrótce wróci, a wtedy ona musi stawić mu czoło.

Weszła do łazienki i odkręciła do końca obydwie kurki. Pełnymi garściami wody - najpierw gorącej, potem zimnej - przemyła sobie skronie, potem zaś zanurzyła całą twarz w umywalce.

Do pokoju wróciła już silniejsza. Teraz tylko spokój może ją uratować. Nie wpadnie w histerię, nie będzie rzucać przedmiotami po ścianach. Dowód winy przedstawi Johnowi spokojnie i chłodno. Później wysłucha jego jak zawsze logicznego wytłumaczenia, a potem...

Poderwała się na dźwięk naciskanej klamki. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wkroczył John, obładowany pełnymi zakupów torbami. Od wysiłku miał czerwone policzki, a w oczach migały mu wesołe ogniki. Uśmiechał się od ucha do ucha i wyglądał tak, jakby przed chwilą podpisał kontrakt na budowę stu dwudziestu wieżowców w największych miastach świata.

- Cześć, kochanie! Wróciłem!



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie zgadniesz, Wando, co znalazłem.
- Zgadnę. Stację benzynową - odparła ponurym głosem.
- Tak, a nawet coś więcej. Nie zgadniesz...
- Zgadnę. Kawę i rogaliki.
- Zgadza się. - John uniósł brwi. To był jedyny znak, że coś go zaniepokoiło, poza tym bowiem zachowywał się wciąż tak, jak gdyby nic się nie stało. - A wszystko to tylko.

- .. .trzydzieści minut marszu stąd - dokończyła za niego. - W miasteczku Perry. O ile znam organizacyjny talent Larry'ego, jestem pewna, że zaopatrzył cię w dokładną mapę terenu.

Z twarzy Johna momentalnie zniknął uśmiech.

- Poczekaj, Wando, zaraz wszystko ci wyjaśnię.
- Wyjaśnisz?! - wrzasnęła, rzucając w niego ręcznikiem. - Kłamcy nie są zdolni do wyjaśnień! Kłamcy potrafią tylko kłamać!

Ręcznik był zbyt lekki, żeby dolecieć do Johna, spadł więc na stół, prosto w kawę, która przewróciła się i rozlała na wyłożoną wykładziną podłogę.

- To - krzyknęła, wskazując na mokre plamy - możesz wyjaśnić Larry'emu! A przy okazji opowiedzieć mu, dlaczego nie wypalił twój podstępny plan!

Rozejrzała się wokół siebie w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Nie znalazła niczego odpowiedniego, zdjęła więc pantofel i cisnęła nim w Johna. Uchylił się i but uderzył w ścianę. Zamierzyła się drugim, lecz wtedy on złapał ją za ramiona i potrząsnął, prawie przewracając na ziemię.

- Uspokój się, Wanda! Chciałem ci powiedzieć... wczoraj wieczorem... ale nie chciałaś mnie słuchać. Powiedziałaś, że powiem ci potem. To twoje słowa.

- Tak. A ty szybko na nie przystałeś!
- Pomyślałem, że ta rozmowa może poczekać do rana.

- Poczekać? Do którego rana? Tego, przy kawie i rogalikach, a może do tego w Waszyngtonie, albo tego, na które nigdy się nie doczekam? - Wanda wyszarpnęła się z jego objąć i odepchnęła go od siebie, zadziwiona nagle swoją siłą. - Oszukałeś mnie! Dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Nie oszukałem cię, Wando, nie w nocy. W tym, co wspólnie przeżyliśmy, była tylko prawda.

Podszedł bliżej, a ona poczuła, że znów ogarnia ją gorączka. Ta sama gorączka, która trawiła teraz jego ciało. Przypomniała sobie nocne chwile uniesienia i przestała się kontrolować. Gdy John dotknął jej brody i unieruchomił głowę, a potem pogłaskał kciukiem jej usta, próbowała jeszcze protestować. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie słowa, a zaledwie cichy jęk. Kiedy zaś John ją pocałował, w nagłym westchnieniu, które wyrwało się z jej piersi, przepadła nawet ta minimalna forma sprzeciwu.

Całował ją wolno i delikatnie. W głowie zawirowały jej wspomnienia ubiegłej nocy i kolana natychmiast ugięły się pod ciężarem coraz bardziej bezwładnego ciała. Wczoraj czuła się dokładnie tak samo.

Ale też wczoraj John ją oszukał!

Wyrwała się wściekle z jego uścisku.

- Skąd mam wiedzieć, co czułeś w nocy? Wykalkulowałeś wszystko co do najmniejszego szczegółu, czemu więc i nasza miłość nie miałyby być wyreżyserowana?

- Sama wiesz, że to nieprawda.

- Nie, John. Nie zwiedzisz mnie po raz kolejny. Zaczęłam podejrzewać, że rzeczywiście chcesz się zmienić, ale to było tylko przedstawienie. Nie zmieniłeś się od czasu, kiedy od ciebie odeszłam. Ani trochę.

- A co miałem zrobić? Moje wysiłki nie dawały ci satysfakcji. Wątpię, czy kiedykolwiek przyniosłyby jakiś rezultat.

- A więc to wszystko moja wina, tak? Ty kłamiesz i oszukujesz, ale to wszystko moja wina!

- Tak, twoja! To ty ciągle narzekałaś i wiecznie byłaś nieszczęśliwa. Wszystko między nami dobrze się układało, dopóki nie wpadłaś na ten idiotyczny pomysł, żeby to zmienić.



- Bo nasze małżeństwo potrzebowało zmian. Utknęliśmy w martwym punkcie.

- A teraz?

- Teraz jest jeszcze gorzej.

Po tych słowach w pokoju zapanowała martwa cisza. John wstał z krzesła. Wciąż nie spuszczał z niej oczu, choć teraz zamiast wściekłości pojawił się w nich smutek.

- Dlaczego... Dlaczego to wszystko zrobiłeś? - Wanda rozejrzała się wokół i bezradnie rozłożyła dłonie. - Po co to całe udawanie?

- Chciałem ci pokazać, ile dla mnie znaczysz - odezwał się głuchym, nieswoim głosem. - Próbowałem wprowadzać poprawki do swojego zachowania, chociaż ty wcale nie robiłaś tego ze swoim. Upierałaś się wciąż przy tej spontaniczności...

- A więc to zagubienie się w lesie było zaplanowane?

- Ale cały czas działałem spontanicznie.

- Kłamałeś - powiedziała gniewnie. - Jak mogłeś?

- Nie słuchasz, co chcę ci powiedzieć.

- Nie chcę więcej słuchać. I nie chcę dłużej tkwić z tobą na tym odludziu, ani tu, ani gdziekolwiek. - Podbiegła do kuchennego stołu, chwyciła kluczyki do samochodu i pognęła z nimi do drzwi. - Pokażę ci teraz bardzo spontaniczną i bardzo szaloną sztukę w jednym akcie, ty łajdaku! - dodała i rzuciła klucze w krzaki jeżyn, jak najdalej od siebie, po czym nie oglądając się, wybiegła na dwór.

Zatrzymała się dopiero na końcu pomostu. Zobaczyła, że John na kłęczkach przeszukuje krzewy i raz po raz wkłada zraniony palec do ust.

Uśmiechnęła się, zadowolona, odcumowała łódź i wskoczyła do środka. Próbowała uruchomić silnik, ale nie chciał zaskoczyć i ciągle gasł. Zerknęła na krzewy. John zrezygnował z szukania kluczy i zaniepokojony odgłosami silnika biegł teraz w kierunku pomostu, by ją zatrzymać. Jeszcze raz pociągnęła za sznurek i tym razem silnik zaskoczył.

- Wando!!! - krzyknął John, wbiegając na pomost.

Ale ona już wrzuciła pierwszy bieg i odpływała od brzegu. John chciał jeszcze rzucić się za nią, jednak łódka była zbyt daleko i zamiast na pokładzie wylądował w lodowatej wodzie.

Wanda odwróciła się ku niemu, ale nie zawróciła łodzi. Nie była pewna, dokąd płynie aż do chwili, kiedy na drugim brzegu dostrzegła parę starszych ludzi, którzy wyszli na brzeg, zwabieni hałasami dochodzącymi od jeziora.

Skierowała łódź na prawo i zaczęła do nich płynąć.



RS

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Przyznaję się bez bicia. To ja wywołałam całe zamieszanie - oświadczyła Wanda, zanurzając się w wannie razem z głową. Po chwili wynurzyła się, zdmuchnęła pianę z nosa i zerknęła niepewnie na siostrę.

Dusty, która siedziała obok niej na stołeczku, okręciła tylko na palcu kosmyk włosów. Milczała.

- No! Powiedz to wreszcie, Dusty!

- Co?

- Powiedz, że moje plany zawsze zawodzą.

- Nie mogę. Tym razem to był plan Johna. Kto inny wymyśliłby taki numer? I kto poza tobą by się na ten numer nabrał?

- Nie nabrałam się na żaden numer. A w każdym razie nie do końca. Zdemaskowałam go. Nazwałam kłamcą i łajdakiem.

- Słusznie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że nie powinien więzić cię w zdezelowanej chacie.

- E, nie była zdezelowana, tylko odnowiona i bardzo przytulna. A poza tym wcale nie byłam uwięziona. John nie zamknął mnie przecież na klucz.

- Ale zaciągnął cię do niej pod fałszywym pretekstem. Kto słyszał, żeby o tej porze roku wystawiano w plenerze jakieś sztuki? Nie - pokręciła głową - John zachował się mało elegancko i w pełni zasłużył na surową karę. A tak przy okazji, czym w niego rzuciłaś?

- Pantoflem. A potem wrzuciłam jego klucze w jeżyny.

- Bardzo dobrze - pochwaliła siostrę Dusty.

- Wyzwałam go też od najgorszych i powiedziałam mnóstwo innych rzeczy, których już nie pamiętam. Po prostu byłam wściekła.

- Zasłużył na każde przekleństwo. Miał czelność zaciągnąć cię na odludzie i tam uwieść. Jak myślisz, co go skłoniło do takich czynów?

- Był zdesperowany. Wiedział, że to nasza ostatnia randka. Próbował mi udowodnić, że jest w stanie się zmienić i że zależy mu na mnie.

- Kontrolowana spontaniczność? Tylko John mógł się tak zachować.
- W każdym razie próbował. Teraz doceniam jego dobre chęci.
- Bronisz go?

- Wcale nie bronię. Ale prawdę mówiąc, to nie on mnie uwiódł. To ja zaciągnęłam go do łóżka. - Wanda zauważyła, że Dusty unosi brew i szybko dodała: - Próbował mi wszystko wyjaśnić, ale ja nie chciałam słuchać. Chciałam tylko... Och, Dusty! - rozmarzyła się. - To było wspaniałe! Jak mogłam nie zaufać mu w takiej chwili? Powiedz mi, może niepotrzebnie go zwymyślałam? Dlaczego to zrobiłam, co?

- Dlatego że jesteś w gorącej wodzie kąpana. Narwana. Impulsywna.

- Wiem, wiem... Teraz to już koniec. Schrząniłam sprawę. Koniec z nami, Dusty.

- I bardzo dobrze!

- Co takiego? - Wanda nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Rodzona siostra cieszyła się perspektywą rozpadu jej małżeństwa!

- Powiedziałam, że to bardzo dobrze - powtórzyła Dusty po czym położyła dłoń na głowie Wandy i wcisnęła ją pod wodę.

Po chwili Wanda wynurzyła się na powierzchnię, kaszląc i krztusząc się pianą.

- Zwariowałaś!?! Dlaczego to zrobiłaś?

- Żebyś wreszcie przejrzała na oczy, wariatko. Kochasz Johna i on kocha ciebie. Może obydwójce powinniście się zmienić, ale kto z nas nie powinien? Teraz, kiedy każde z was pokazało, na co je stać, możecie zacząć pracować nad swoim charakterem. Darujcie sobie tylko podobne wygłupy, a jakoś się wam ułoży.

- Masz rację. Kończę z moimi pomysłami. Usiądę i porozmawiam z nim uczciwie. Będę się zachowywać spokojnie, mówić logicznie i racjonalnie...

- Hej! Tylko nie przesadz. Nikt od ciebie nie oczekuje cudów, raczej drobnych zmian.

Wanda wstała z wanny i owinęła się w duży ręcznik.

- Jasne. Tylko zmian. Co więc mam teraz zrobić? Zadzwoń, tak? Dobrze. Zaraz do niego zadzwonię.

Wanda porwała Dusty ze stołka i przytuliła mocno, nie zważając na to, że moczy jej ubranie. Potem owinęła się ciasniej ręcznikiem,

podbiegła do drzwi i... zatrzymała się w pół kroku.

- Dusty? John jest pewnie na mnie wściekły. Jak sądzisz, będzie chciał ze mną gadać? A jeśli nadal szuka tych kluczy?

- To podobno stary harcerz. Na pewno już je znalazł, więc myślę, że zgodzi się na rozmowę. Nie mówię, że nie będzie wściekły, ale...

- Och, Dusty! - wykrzyknęła Wanda i przysunęła się, by znów ją uściskać.

- Ej, wystarczy mi jeden prysznic! No, idź już sobie! Wanda wybiegła w podskokach z łazienki i w tej samej chwili rozdzwonił się dzwonek u drzwi.

- To on - wyszeptała i ruszyła, by czym prędzej je otworzyć.

W jej głowie przewalały się niespokojne myśli. Czy John jej wybaczy? Od czego powinna zacząć rozmowę? A może lepiej będzie po prostu milczeć i tylko go pocałować? I dlaczego tak długo naciska na ten dzwonek? Czy pragnie się z nią zobaczyć tak bardzo, jak ona?

Otworzyła drzwi i natychmiast odskoczyła do tyłu.

John wypełniał swoją posturą całe wejście. Mokre, oblepione mułem ubranie przylegało mu do skóry, zaś na czubku nosa sterczały krzywo okulary. Jedno ze szkielek było zresztą stłuczone. Włosy miał potargane, twarz podrapaną, z uniesioną i zaciśniętą w powietrzu pięścią wyglądał jak szaleniec.

W co chciał uderzyć? W drzwi? W jej głowę?

- Nareszcie - powiedział i przepchnął się obok niej do środka.

- John, co się stało?

Zanim odpowiedział, z jego gardła wydobyło się groźne bulgotanie.

- Naciągnął tajfun zwany Wandą. To się stało.

- Tak mi przykro...

- Mnie też, kochanie. Przepraszam cię, że w ogóle zgodziłem się wziąć udział w twoim szalonym pomysle. Muszę sobie przebadac głowę. Jestem wariatem. Tak, przez ciebie zwariowałem. Nie wiem, dlaczego uwierzyłem, że kiedykolwiek cię zadowolę.

- Ale przeciez ty naprawde się zmieniles. I ja naprawde jestem zadowolona. Wiesz co? Od tej pory po prostu cieszymy się życiem i zapomnijmy o tym, co się stało, zgoda? W końcu nie stało się nic strasznego.

- Nie, nic. Poza tym, że ci mili staruszkowie znad jeziora wezwali policję. Widzisz, jacy porządni z nich obywatele?

- Jak to?

- A tak. Nie przesłyszałaś się. Wezwali policję. Tylko nie udawaj zaskoczonej. Nie wiem, co im powiedziałaś, dość że po twoich słowach pojechali na posterunek.

- Nic im nie powiedziałam - nieśmiało odparła Wanda. - A na pewno nic, co mogłoby zainteresować policję.

- Naturalnie, tylko że oni odnieśli wprost przeciwne wrażenie, zresztą podobnie jak policja - zagrział John. - Przyjechały gliny i znalazły mnie, buszującego w jeżynach obok otwartego domku, który nie jest moją własnością. Wyobraź sobie, jak zareagowali, gdy im powiedziałem, że moja własna żona wrzuciła właśnie w krzaki kluczyki do samochodu... Celowo!

- O, nie!

- O, tak! A i to jeszcze nie wszystko. - John zatrzymał się i wbił w Wandę ponure spojrzenie. - Ostatnie pięć godzin przesiedziałem w pudle! Kara za pozostawienie samochodu na środku drogi publicznej. Gdyby mogli, zatrzymaliby mnie na dłużej.

- A... jak się stamtąd wydostałeś?

- Zadzwoiłem do Larry'ego. Czekałem na niego trzy godziny, ale mądrze wykorzystałem ten czas. Myślałem o tobie i o tym, co zrobię, kiedy...

- Poczekaj! - przerwała mu. - Poczekaj, zanim powiesz coś, czego będziesz później żałował. Czy nie sądzisz, że po tym, co stało się ostatniej nocy...

- Nie sądzę! - tym razem on jej przerwał. - Wiem już, że ta noc była tylko jednym z elementów tej twojej wielkiej gry.

- Jakiej gry?

- Gry, w której ja byłem pionkiem, a ty reżyserem i mistrzem ceremonii. Jednego jestem pewien: mam tego szczerze dosyć. Życie z tobą jest jak jazda na diabelskim młynie. Wolę coś spokojniejszego - powiedział i znów zaczął chodzić po pokoju. - Wolę samotne, konserwatywne i... nudne, tak, nudne życie! Cokolwiek, byle nie ciebie - dodał i skierował się do wyjścia.



Wanda chciała go powstrzymać, ale głos uwiązał jej w gardle, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Stała się więźniem własnego strachu. Wreszcie odchrząknęła i wydobyła z siebie szept. Wystarczyło. John zatrzymał się i odwrócił. Przechylił głowę, zmarszczył brwi. Wanda wiedziała, że teraz ma ostatnią szansę. Teraz albo nigdy.

- John? Proszę, posłuchaj mnie. Wiem, że powiedziałam ci rzeczy, których tak naprawdę nie myślę. Proszę, nie rób tego samego. Będziemy później żałować.

- Ja już żałuję. Żałuję, że w ogóle się poznaliśmy. Żałuję, że wierzyłem, że nam się uda. I do diabła, żałuję, że w ogóle stanąłem z tobą przy ołtarzu!

- Nie! Poczekaj, musimy porozmawiać...

- Odtąd będziemy rozmawiać przez adwokatów.

- Nie!!!! - Wanda wybiegła za nim na schody.

- Tak. I jeszcze jedno... - John zawiesił głos i wskazał palcem na Wandę. Zesztywniał, a po chwili znów poluznił mięśnie. - Nałóż coś na siebie - parsknął wreszcie, po czym odwrócił się po raz ostatni i zatrasnął za sobą drzwi.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wanda spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej. Była piąta po południu i zaczynało zmierzchać. Gdyby nie przeżycia ostatnich godzin rzuciłaby swój podły nastrój na deszcz i chmury, a tak nie mogła nawet obwiniać szalejącego na dworze wiatru.

Deszcz walił w odsuwany dach samochodu. Niewiele widziała, mimo iż wycieraczki pracowały bez przerwy. Przejechała przez kałużę i skręciła na podjazd. Światła samochodu padły na okna salonu. Wanda zmrużyła oczy, zgasiła silnik i ściskając w dłoni klucze, pobiegła do drzwi wejściowych.

Kiedy weszła do środka, ogarnęła ją jeszcze głębsza ciemność. Przyjrzała się meblom w salonie i przeszła do kuchni.

- Kochanie, wróciłam - włączając światło, zwróciła się do lodówki. - Nie chce ci się dzisiaj gadać, co? - ciągnęła atlasowym głosem. - Jesteś wściekła, że ciągle wracam tak późno? Nic nie mogłam na to poradzić. Spotkanie się przeciągnęło. Wiem, wiem. Ostatnio mówiłam to samo. Wolisz, żebym kłamała?

A kto by wołał? - pomyślała Wanda. Ona na pewno nie.

Smutno rozejrzała się wokół. Wiele kosztował ją powrót do pustego domu.

Owszem, mogła zostać w Richmond. Dusty błagała ją nawet o to, twierdząc, że zatęskni się za nią na śmierć. Przynajmniej ona jedna za nią tęskni.

Tak, ona jedna, bo poza siostrą Wanda nie miała już nikogo. Jej małżeństwo się rozpadło i został jej tylko ten dom, z którego John wyprowadził się do mieszkania w centrum miasta.

- Pokaż, co tam masz, lodóweczko - odezwała się znowu, otwierając drzwiczki i wyjmując z zamrażarki pudełko lodów.

Podreptała do swojego gabinetu, usiadła za stołem i zaczęła lizać kawową masę w nadziei, że kofeina pomoże na uporczywy ból głowy. Nic z tego. Nie pomógł również masaż skroni. Kolejna migrena.

Niestety, odkąd Wanda wzięła na siebie więcej obowiązków, częściej dokuczały jej te bóle.

Zerknęła na kalendarz, który stał na biurku. Już miesiąc i cztery dni skreślała ołówkiem poszczególne daty. Nigdy nie przypuszczała, że czas może płynąć tak ospale, a jednocześnie sprawiać wrażenie, że miesiąc mija w mgnieniu oka.

„Nawet najdoskonalsze plany czasem zawodzą” - powiedziałyby pewnie jej babcia. I zaraz potem dodałyby: „Jak już masz to, na czym ci naprawdę zależy, to chuchaj na to i dmuchaj”.

Wanda miała już coś, a raczej kogoś, na kim zależało jej najbardziej. I co? I nic. Przez własną głupotę straciła mężczyznę, którego kiedyś poślubiła i którego wciąż kochała. A teraz dałaby wszystko, żeby znów mieć go przy sobie. Niechby już sobie był taki sztywny i bez fantazji.

Tęsknisz za nim, co? - zapytała w myślach sama siebie. Tęsknisz jak cholera.

Pewnie, że tęsknię. I powiedziałabym mu to osobiście, gdybym tylko mogła się przebić przez jego prawników.

Hej! Co znaczy tych kilku adwokatów wobec twojej determinacji? Mogłabyś opracować jakiś plan...

O nie, broniła się przed podszeptami serca. Żadnych planów. Obiecałam to sobie i wszystkim innym.

Daj spokój, przecież kochasz Johna, prawda? Popatrz, jak teraz cierpisz. On zresztą też, na pewno. Wiesz dobrze, że nadal cię kocha. Musi cię tylko zobaczyć. Czy to takie skomplikowane? Co masz do stracenia?

- Właściwie to nic - powiedziała głośno do siebie. - Już i tak raz go straciłam. Ale żeby teraz się z nim spotkać, będę musiała opracować plan szczególnie wyrafinowany i szczególnie ryzykowny. Jeżeli się nie uda, John się wścieknie, ale przecież nie bardziej niż wtedy, kiedy wniósł o rozwód. W końcu nie można się rozwieść dwa razy.

Ból głowy ustąpił natychmiast. Wanda wyciągnęła z szuflady książkę telefoniczną i sięgnęła po słuchawkę. Za dwa dni jej mąż - wciąż jeszcze aktualny mąż - będzie miał urodziny. Wysłała mu już wprawdzie kartkę z życzeniami, ale teraz postanowiła dać bardziej osobisty dowód swojej pamięci. Uśmiechając się do siebie, wykręciła numer.

John siedział za biurkiem i wpatrywał się w terminarz. Zakreślił kółko, odznaczając kolejny dzień.

Miesiąc i cztery dni...

Jeśli tylko przez miesiąc trudno mu było żyć bez Wandy, to co dopiero będzie po rozwodzie? Rozwód jest czymś ostatecznym. To definitywny koniec życia z Wandą, z jej krzywymi uśmiechami, kuszącymi spojrzeniami i zwariowanymi pomysłami, których tak nie znosił - i których tak bardzo mu teraz brakowało.

Oparł brodę na pięści i spojrzał przez okno. Był szaleńcem, jeśli myślał, że uda mu się o niej zapomnieć. Może potrafiłby bez niej egzystować, ale nie żyć. Od czasu ich separacji coraz później wracał z pracy do wynajętego mieszkania, coraz częściej nie mógł zasnąć, coraz więcej siwych włosów znajdował na swojej głowie.

W skrytości duszy liczył na to, że jego żona - wciąż aktualna żona - zatrzyma jedną ze swoich sztuczek całą tę rozwodową machinę. A jeśli nie, John był gotów zastrzelić się albo pchnąć nożem.

Przestań, Rocko. Nie dramatyzuj. Jakoś to przeżyjesz, pocieszał go wewnętrzny głos, który tym razem zdawał się brzmieć wyjątkowo fałszywie. Masz pracę, kupę forsy, przecież zawsze tego chciałeś. Hej! Masz nawet widoki, żeby zostać pierwszym architektem Stanów Zjednoczonych. Żadna kobieta nie zrzędzi ci wreszcie nad uchem, żebyś zwolnił tempo, nikt cię nie krytykuje. .. Chcesz, żeby znowu wróciło stare piekło?

- Nie!!! - odpowiedź odbiła się o ściany głuchym echem.

Całe nieszczęście zaczęło się przecież od planu Wandy, żeby dodać ich życiu pikanterii. Potraktowała go, jakby był jakimś niedoprawionym stekiem!

Może i powinien się zmienić, ale wymagania Wandy były zbyt wysokie. Nigdy by jej nie zadowolił i dlatego właśnie rozwód był najlepszym wyjściem z sytuacji. Po prostu musi się oswoić z tą myślą. To wszystko.

John westchnął głęboko i głośno wypuścił powietrze z płuc. Dość tego dumania. Teraz musi skoncentrować się na pracy. Za niecałe dwie godziny w jego biurze pojawi się Jackson i zaakceptuje - tak, zaakceptuje! - wreszcie jego projekty.

Spojrzał na rozłożone na biurku szkice. Dwadzieścia trzy piętra śmiałych, wyraźnych linii miało olśnić przyszłego inwestora, a projektantowi zapewnić sławę, bogactwo i życiową stabilizację. John był bowiem pewien, że nikt poza Wandą nie nazwie zaprojektowanego przez niego obiektu pudełkiem albo klatką.

- To wygląda jak zwykłe pudełko - oświadczył Jackson.

- Przyznam, że spodziewałem się czegoś innego...

- W tym gabinecie wisi pełno innych projektów, panie Jackson - wtrącił się Larry.

- Tak. I wszystkie są wariacjami na ten sam temat. - Jackson wskazał dłonią zawieszane na ścianach szkice. - Szklane pudło, granitowo-stalowe pudło, a to tam - wskazał oranżerię - to zielone pudło.

- Chciał pan prostoty, no to ma pan prostotę.

- Mówiłem o szlachetnej prostocie, nie o beznadziejnej nudzie. - Jackson zwrócił się do Johna. - Panie Rockman, naprawdę myślałem, że wy, panowie, potraficie stworzyć coś ciekawego. Pańskie wcześniejsze prace zrobiły na mnie ogromne wrażenie, dlatego właśnie wybrałem tę firmę.

- Chciał pan, żeby było tanio! - parsknął Larry.

Za takie stwierdzenie John zmierzyłby go innym razem morderczym spojrzeniem, ale teraz nawet nie uniósł głowy. Właściwie chciał, żeby Jackson obraził się wreszcie i sobie poszedł. Co za różnica? Trzeba mieć odwagę przyznać przed sobą, że straciło się gdzieś dawną fantazję i śmiałość kreacji. Im prędzej się z tym pogodzi, tym szybciej zacznie przykładać większą wagę do zarządzania własną firmą. Larry będzie projektował, a on, Rocko, niegdysiejsza sława, zajmie się tym, do czego najlepiej się nadaje - papierkami i cyferkami.

Mimo wszystko ścisnęło go w gardle, kiedy myślał, że to już koniec jego projektanckiej kariery.

- Co pan mi tutaj...! - Jackson poderwał się na równe nogi. - Ja chciałem czegoś taniego? Może i tak, ale przy was tylko marnuję pieniądze! Gdybym wybrał inną firmę, pewnie już dawno stałyby fundamenty! A zamiast tego mam do czynienia z dwoma impotentami, którzy nie mają żadnych pomysłów!

John słuchał wywodów Jacksona tylko jednym uchem. Większą część

uwagi poświęcił na wyobrażenie sobie pogrzebu własnego talentu.

„Szanowni państwo, zgromadzeni w żałobie!” - tak mogłaby się zaczynać mowa pożegnalna. „Zebraliśmy się tu dzisiaj nie po to, żeby słać talent Johna Rockmana, ale żeby go pogrzebać...”

Na samą myśl o tym John zadrżał, jakby zobaczył ducha. Kolejny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, kiedy wydało mu się, że słyszy głos Wandy, który powtarza z uporem: „Posłuchaj mnie, Rocko. Jeśli teraz zamkniesz oczy, to już nigdy nie wydostaniesz się z tego pudła. Twoja pomysłowość żyje nadal, ale gdzieś się zagubiła. No, już, rusz się! Podnieś ołówek! Świat się nie zawali, jeśli narysujesz jedną krzywą linię!”

- Moja babcia podsumowałaby pana pewnym powiedzeniem - słowa Larry'ego wyrwały go z rozmyślań.

- Nie interesuje mnie, co o mnie myśli pańska babcia. Żegnam panów! - Jackson podniósł się z fotela i ruszył energicznie do wyjścia. Otworzył drzwi i... wpadł na ubraną na różowo kobietę z naręczem balonów.

- Czy pan John Rockman? - zapytała go z uśmiechem, a Jackson z wrażenia otworzył tylko usta. Kobieta wręczyła mu balony, gwizdnęła, a potem pognęła na środek gabinetu, zatrzymując się o krok od Johna. - Wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestych piątych urodzin! Niech najbliższy rok obfituje w same niespodzianki!

- Proszę mnie stąd wypuścić. - Jackson przestał rozumieć, co się wokół niego dzieje. Zakręcił się w kółko. Klowni, tancerki, kuglarze - wszyscy stanęli wokół niego i porwali go do tańca. John usłyszał okrzyki protestu swojego klienta, ale nie mógł mu pomóc, bo uwięziły go właśnie trzy kobiety, które z zapamiętaniem rzucały w niego konfetti.

- Wanda... - wyszeptał John i nagle stanęła mu przed oczyma scena z hotelu, kiedy to jego żona próbowała ocenić jego projekty. Im głębiej analizował wypowiedziane wtedy przez nią słowa, tym bardziej docierał do niego ich sens.

„Pikanteria, niespodzianka, odwaga, przełamywanie schematów...”

„Nieoczekiwany łuk i nagła krzywa nie zakłócą harmonii projektu...”

Po raz ostatni John rzucił okiem na panujący w gabinecie chaos, na Larry'ego, który chętnie poddawał się torturom pańien z konfetti, oraz na



Jacksona, uwięzionego przez dwóch żonglujących maczugami kuglarzy.  
Jego ręka sama zaczęła kreślić poprawki na dotychczasowym szkicu.



RS

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nagle śpiew ustąpił ciszy.

Trzech obecnych w gabinecie mężczyzn spojrzało na siebie i zamarło w bezruchu. Po chwili jednak poderwali się i zaczęli mówić jeden przez drugiego, przekrzykując się wzajemnie. Larry zaczął machać rękami, Jackson groził palcem, a John...

A John włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

- Cisza!!! - wrzasnął. I zapadła cisza.

- Panie Jackson... - zaczął.

- Nie, to koniec. To już koniec. Nie chcę pana nawet słuchać. Nic dziwnego, chłopcy, że nie jesteście w stanie niczego zaprojektować. Dla was praca to karnawał, a biuro to cyrk. Projektowanie musi być chyba waszą uboczną działalnością, czymś, co sprawia, że na zewnątrz postrzegają was jako normalnych ludzi. Ale ja was przejrzałem. Ja nie dam się ogłupić. Do widzenia.

- Panie Jackson! - John powtórzył z naciskiem, a jego głos zabrzmiał tak mocno, że klient znieruchomiał u drzwi. - Nie oglądał pan jeszcze prawdziwego karnawału. Na razie widział pan tylko tajfun Wanda w działaniu. - Jackson nie bardzo rozumiał, co się do niego mówi, więc John podszedł do niego i uśmiechnął się zachęcająco. - Zawrzyjmy kompromis. Pan zapomni o wszystkim i da nam ostatnią szansę, a ja zaproponuję panu... Proszę - wręczył mu poprawione przed chwilą projekty - oto prostota, która jednocześnie nie jest ani zbyt sztywna, ani szokująca.

- Naprawdę, nie chcę już...

- Proszę przynajmniej obejrzeć, zanim pan wyjdzie. Jeśli się panu nie spodoba, to trudno. Powiesimy je na ścianie, a nasza znajomość zostanie zakończona.

Jackson parsknął gniewnie, ale wziął od Johna projekty i rozłożył je na biurku.

- No i?

Oszołomiony cudowną odmianą klient podniósł wzrok, W jego zdumionych oczach skrzyły się iskry. Wciąż nie rozumiał, co właściwie dzieje się w tym pokoju, ale wiedział, że zobaczył właśnie architektoniczny cud.

- To... to jest fantastyczne... olśniewające! - powiedział.

- Właśnie o to od początku mi chodziło. Ten projekt przypomina pańskie wcześniejsze prace, ale jest od nich jeszcze lepszy, panie Rockman. - Odsunął szkice na odległość wyciągniętej ręki, uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie rozumiem, dlaczego nie pokazał mi pan tego wcześniej? Też ma pan metody.

- Byłem zajęty walką z tajfunem. Jackson nie odpowiedział.

Może i Rockman był wariatem, ale za to genialnym wariatem!

Wanda odłożyła słuchawkę i usiadła sztywno.

Co powiedziała sekretarka Johna? Że żadna przesyłka do niego nie dotarła i że do wpół do czwartej miał siedzieć z klientem na spotkaniu?

Hm, może znów się wściekł i dlatego kazał jej tak powiedzieć? Do licha, co też ją podkusiło, żeby wysłać mu życzenia urodzinowe do biura? I to jakie życzenia! Powinna przewidzieć, że grupa kłownów, wpadających do gabinetu podczas ważnego spotkania, nie będzie miłą niespodzianką.

Ale może rzeczywiście całe to towarzystwo nie dotarło jeszcze na miejsce i sekretarka mówi prawdę. Oby!

Raz jeszcze wykręciła numer do R&S Architects, sekretarka ponownie udzieliła jej tej samej informacji, a wtedy Wanda postanowiła pojechać do Johna.

Natychmiast. Żeby zdążyć, zanim nadejdą „życzenia”.

Kilka minut później siedziała już w samochodzie. Zegar na tablicy rozdzielczej wyświetlał czternastą czterdzieści dwie. Akorzy mieli pojawić się w biurze Johna między wpół do trze-cią a trzecią. Miała osiemnaście minut i do przejechania pół miasta.

Ruszyła ostro, wyprzedziła dwa samochody, zmieniła pas. Szybciej! Dodała gazu i w tej samej chwili z przystanku ruszył autobus.

Boże, nie!

Zajechał jej drogę, a ona natychmiast nacisnęła hamulec - niestety za późno. Huknęła w tył pojazdu, uderzyła głową o kierownicę i odskoczyła

na siedzenie. Po chwili podniosła wzrok, rozluźniła uścisk palców na kole i powoli wypuściła powietrze z płuc. Zerknęła na zegarek- od ostatniego spojrzenia przesunął się o dwie minuty.

Znowu nacisnęła na gaz.

- Stary, jak ty to zrobiłeś? Jackson był tak zadowolony, że chciał mnie poczęstować cygarem! - radośnie krzyknął Larry, siadając na wprost współnika. - Rozumiem, zaplanowałeś sobie to wszystko, tak? Napięcie rośnie do końca, dramaturgia jak w najlepszym filmie... Ale proszę cię, Rocko, nie wystawiaj więcej moich nerwów na taką próbę. Nie przeżyję tego po raz drugi.

- To nie było zaplanowane.

- Nie? A te balony, ci tancerze? Jackson uwięziony między żonglującymi facetami? Nie mów, że samo tak wyszło.

- To Wanda. Tajfun zwany Wandą. Larry roześmiał się w głos.

- Wanda? No nie, ty to masz żonę! To było jeszcze lepsze niż ten numer z meblami.

Dużo lepsze, pomyślał John. Choć przesłanie wciąż jest to samo: „Obudź się, Rocko, otrząśnij się z rutyny, przestań drzeć ze strachu przed życiem i zacznij żyć naprawdę!” Czy rzeczywiście potrzebował aż cyrku w biurze, żeby przejrzeć na oczy?

Najwyraźniej. Cholera, nie mogła mu zrobić lepszego prezentu.

A co on dał Wandzie w zamian?

Dokumenty rozwodowe.

Napiął mięśnie, jak zawsze na myśl o tym, że utracił ją na zawsze. Jak mógł poświęcić małżeństwo dla złudnego poczucia bezpieczeństwa? Jak mógł zamknąć oczy na to, co dla niego najważniejsze? Przez swój ośli upór stracił wspaniałą, pełną fantazji kobietę. Czy mało ludzi przed nim przekonało się, że najcenniejsze nie jest to, co da się wymierzyć i policzyć, ale...

Tak, tak. Miłość, szczęście, radość - rzeczy, o których nie wypada mówić na salonach tego świata.

Żal jeszcze mocniej chwycił go za gardło.

- Chyba powinienem się przejść.

- Racja. Nie wyglądasz najlepiej, chłopie. A przynajmniej nie jak ktoś, kto przed chwilą podpisał kontrakt na pół miliona dolarów.

- Fakt. Skończyło się dobrze. Ale jakim kosztem?
- Kilkoma wrzodami, niczym więcej.
- Nieprawda. - John poderwał się z krzesła i pobiegł do drzwi. -

Sukces za drogo nas kosztował. Ale ja to jeszcze naprawię!

- Wychodzisz? Myślałem, że oblejemy ten sukces.
- Zaczynij beze mnie.
- A ty co?
- Wracam w oko cyklonu. Może jeszcze mnie porwie.



RS

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

John wiedział, że przekroczył dozwoloną prędkość. Chciał zresztą jechać jeszcze szybciej, ale ulica była zbyt wąska, a poza tym nawet gdyby przekroczył limit na własnym prędkościomierzu, nie dojechałby do biura Wandy wcześniej niż za piętnaście minut. Gdyby zaś zatrzymała go policja, straciłby kolejne dziesięć.

Nie był pewien, czy w ogóle zastanie Wandę w biurze. Wiedział od Dusty, że jego żona - wciąż aktualna żona - często jeździ z wizytami do klientów. Mogła więc właśnie mieć spotkanie, prezentację albo spóźniony lunch z jakimś przystojniakiem od reklamy, promocji czy marketingu.

Na myśl o mężczyźnie u boku Wandy John mocniej nacisnął na gaz.

Powinien był najpierw zadzwonić. Zganił siebie za fatalny plan działania. Nie miał nawet pojęcia, co powinien powiedzieć Wandzie, gdy ją zobaczy. A może w ogóle nie będzie chciała z nim rozmawiać?

Wjechał na Dupont Circle, gdzie tłumy ludzi jak zwykle spacerowały wokół olbrzymiej fontanny, i zatrzymał się na skrzyżowaniu przed wjazdem na rondo. Gdy czekał na zmianę świateł, dostrzegł po drugiej stronie ronda niewielki żółty samochód z odsuwającym dachem, a w nim kobietę do złudzenia przypominającą Wandę. Ta jednak miała inny styl - ubrana była w klasyczny szary kostium, a jej włosy ściągnięte były w ciasny kok. To nie mogła być jego żona. Cóż, widocznie w każdej kobiecie będzie już dopatrywał się podobieństwa do Wandy.

Pojawiło się zielone światło, John ruszył czym prędzej, ale wciąż zerkał kątem oka w stronę żółtego auta. Gdy przejeżdżał obok niego, również ruszyło, po czym stanęło gwałtownie, blokując całkowicie wlot ulicy. Jadące za nim samochody oczywiście roztrąbiły się dźwiękiem klaksonów, kobieta dwukrotnie mignęła do nich światłem na znak przeprosin, a potem szarpnęła wóz do przodu i z piskiem opon wjechała na rondo.

To musi być Wanda!



Nikt inny tak nie jeździ!

W pierwszej chwili Wanda pomyślała, że po drugiej stronie skrzyżowania widzi znajomą hondę swego męża. Kierowca nachylał się jednak niecierpliwie do przedniej szyby, jakby chciał przyśpieszyć zmianę świateł, uznała więc, że to nie może być John. John zwykł siedzieć prosto, z lekko uniesioną głową, i obejmować kierownicę zawsze w ten sam sposób - na „za dziesięć druga”. Tamten był po prostu do niego podobny, to wszystko. Od jakiegoś czasu często jej się zresztą zdarzało widzieć w napotkanych mężczyznach podobieństwo do Johna.

Ruszyła spod świateł, kierowca w hondzie również. Kiedy się zaś mijali, spojrzała na niego raz jeszcze i... zrobiło jej się słabo.

A jednak to on!

Gwałtownie nacisnęła na hamulec, wokół niej od razu rozległy się trąbienia klaksonów, ale nie zwracała na nie uwagi. Teraz najważniejszym celem było dogonienie niebieskiego samochodu.

Zamigala światłami, nacisnęła klakson, wrzuciła bieg i wjechała z piskiem opon na rondo. Przed oczami miała wyłącznie znikającą za fontanną sylwetkę niebieskiej hondy.

John przygryzł dolną wargę. Próbował dogonić Wandę, a jednocześnie miał dziwne wrażenie, że ona usiłuje zrobić to samo. Może powinien zwolnić i na nią poczekać?

Nie. Gdyby zwolnił, natychmiast spowodowałby korek. Musiał szybko wymyślić jakiś plan. Inaczej będą ścigać się w nieskończoność.

W pewnym momencie dostrzegł, że żółty pojazd Wandy ma paskudnie wgnieciony przód i pogiętą maskę.

Chryste, miała kraksę! Może wciąż jest w szoku, może spowodowała kolizję i uciekła z miejsca wypadku? Wiadomo, jaka jest. Nikt nigdy nie był w stanie przewidzieć, co jej strzeli do głowy.

Decyzję podjął natychmiast. Musi ją zatrzymać, dostać się do niej, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zatoczył łuk, ustawił się naprzeciwko nadjeżdżających samochodów i zatrzymał się jak gdyby nigdy nic. Spokojnie zaciągnął ręczny hamulec, wyjął ze stacyjki kluczyki, a potem wyskoczył z samochodu. Natychmiast zawył chór klaksonów i wyzwisk. Nie zważając na nie, zręcznie przeciskał się między zderzakami.

I co teraz?

Wanda uderzyła pięścią w kierownicę.

Rondo się zakorkowało, a ona siedziała w zgniecionym samochodzie i próbowała domyślić się przyczyny zatoru wokół niebieskiego auta po drugiej stronie fontanny.

A może John miał wypadek?

Ta nagła myśl sprawiła, że na jej skórze od razu pojawiła się gęsia skórka. Krew odpłynęła jej z twarzy. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, ale zdołała jakoś wyjść z samochodu.

Boże, a jeśli jest ranny?

Jeśli... nie żyje?

Blada z przerażenia, zaczęła iść między pojazdami w stronę, z której dochodził apokaliptyczny ryk klaksonów. Samochody stały bez ruchu, a ona była pewna, że za chwilę stanie też jej serce. Nie czuła go ani nie słyszała. Całą uwagę skupiła na niebieskiej hondzie. Nie dostrzegła w niej ruchu. To auto było martwe.

Nagle zauważyła, że John biegnie w kierunku fontanny i przemyka się wśród samochodów, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Przyłożyła dłonie do ust, żeby powstrzymać się od krzyku. Jakiś samochód znalazł dla siebie lukę w korku i zaczął właśnie nabierać prędkości, niebezpiecznie zbliżając się do jej męża. Wanda zamknęła oczy.

Zaraz potem usłyszała pisk hamulców i przeraźliwe wycie klaksonu, który dołączył do zgodnego chóru aut uwięzionych w korku.

Otworzyła oczy. John wciąż stał, lecz wyglądało na to, że przed chwilą został potrącony. Chwiał się i lada moment mógł upaść.

Ale nie! Odepchnął się od maski samochodu i pobiegł dalej. Biegł szybko, zygzakiem, przepychając się przez tłum przy fontannie. Nigdy nie widziała, żeby zachowywał się w ten sposób.

Przedzierał się dzielnie w jej stronę, jednak gdy stanęła mu na drodze grupka przedszkolaków, nic nie mógł poradzić. Maluchy trzymały się za ręce, a on miotał się jak osaczony zwierz. Próbował szukać wyjścia z boku, pod spodem, wszędzie.

Na próżno. Na chwilę przystanął, a potem wbiegł w fontannę, rozpryskując wokół siebie wodę. Tłum rzucił się, by oglądać to niezwykle widowisko, a Wanda przestała oddychać. Żołądek podszedł

jej do gardła i zacisnął się jak pięść. Nie mogła utrzymać się na nogach, dlatego oparła się tylko o jakiś samochód i czekała.

I oto John stanął przed nią po chwili. Marynarka zwisała mu na jednym ramieniu, biała koszula przylegała do torsu, po włosach i okularach spływała woda.

Był obok niej.

Już bezpieczny. I mokry. I szalony.

- Niespodzianka - powiedział, dysząc ciężko. - Zrobiłem ci niespodziankę.

- Niespodzianka? Mogłeś zginąć! - wrzasnęła, wskazując palcem zablokowany ruch na rondzie. Jej głos był donośniejszy od wszystkich klaksonów.

- Niemożliwe. Jestem pod ochroną. Wypełniam ważną misję. Nie miałem innego wyjścia.

- A ja myślę, że taki właśnie był twój plan. Celowo zatrzymałeś ruch, a teraz uśmiechasz się głupio jak gdyby nigdy nic. Co ci opętało? - zapytała łagodniej. - Kto ci kazał robić takie szaleństwa?

- Mój zdrowy rozsądek... Nareszcie.

- Slalom wśród samochodów nie jest objawem rozsądku, tylko... tylko...

- Pośpiechu?

- Tak, pośpiechu i...

- Spontaniczności?

Wanda spojrzała na jego mokrą, spoconą twarz. Tak, rajd wśród samochodów był przejawem spontaniczności - czyli czymś zupełnie niepodobnym do Johna Rockmana.

- Jechałem właśnie do ciebie - powiedział. - Dzisiaj po południu odebrałem twoje życzenia i postanowiłem, że też zrobię ci niespodziankę. I że przekażę ją osobiście.

Objął niepewnie jej ramię, nachylił ku niej twarz. Nie zwracał uwagi ani na tłum gapiów, ani na policyjny radiowóz, który wjeżdżał właśnie na trawnik obok fontanny.

- Ja... Ja ci wszystko wyjaśnię, Wando. Widzisz, pomyślałem, że jeżeli porozmawiamy w cztery oczy... jeśli spotkamy się tylko we dwoje, to zmienisz zdanie na temat... na temat wielu spraw.

Wandzie zaschło w gardle. Wiedziała, że powinna wygłosić w tej chwili mowę życia, a tymczasem zapomniała języka w gębie. Przełknęła więc tylko ślinę, odchrząknęła i bąknęła słabym głosem:

- Przepraszam, John. Wiem, że obiecałam, ale... Słuchaj, jeśli masz do mnie żal za tych kłownów, to przepraszam. Przepraszam, że nie dotrzymałam obietnicy... Przepra...

- Wanda, zamknij się wreszcie!

- Słucham?

Na spiętej dotąd twarzy Johna zagościł uśmiech, najpierw nieśmiały, potem coraz szerszy, aż w końcu przerodził się w głośny śmiech.

Kierowcy odkręcili szyby i z zaciekawieniem przyglądali się tej osobliwej parze, podobnie policjanci, którzy nie mogli zdecydować się na interwencję. John nie zwracał na nich wszystkich uwagi.

Co się stało? Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał!

Chciała mu to powiedzieć, ale nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdy John chwycił ją w talii, uniósł w powietrze i posadził na masce samochodu. Kiedy zaś próbowała zaprotestować, nakrył jej usta namiętym pocałunkiem.

Wanda otworzyła szeroko oczy, a po chwili je zamknęła. Usta Johna delikatnie pieściły jej wargi. Wtopiła się w niego i odwzajemniła pieśczość. Splotła dłonie na szyi męża, a w odpowiedzi poczuła jego radosne drżenie.

W końcu odsunął się o krok i postawił ją na ziemię.

- Czy to jest jakiś nowy plan, czy po prostu twój nowy sposób uwodzenia? - zapytała.

- Jedno i drugie.

- A co będzie potem?

- Chłopak zdobędzie dziewczynę i będą żyć razem długo i szczęśliwie.

- Jesteś pewien?

- Moja dziewczyna, mój plan. Ta historia nie może skończyć się inaczej.

- Są jednak pewne sprawy, które ta dziewczyna i ten chłopak muszą sobie najpierw wyjaśnić.

- Na przykład pies...

- Na początek.
- Zgoda. Pies. Musimy go tylko wyciągnąć z fontanny. Siedzi tam taki jeden, ma smutne oczy i desperacko szuka domu.
- A dziecko? - Wanda wstrzymała oddech.
- Nie mów mi tylko, że dziecko też możemy znaleźć w tej fontannie.
- Nie, głuptasie. Pytam poważnie. Będziemy mieli dziecko?
- Czy mamy zacząć przygotowania już tu, na ulicy? Wanda pacnęła pięścią w jego ramię, a on złapał ją za nadgarstek i pocałował.
- Naprawdę pytałam poważnie.
- A ja poważnie odpowiadam: Jak tylko wrócimy do domu, zaczniemy usilnie nad tym pracować. Pospieszmy się.
- Pospieszmy się? Hm, to może trochę potrwać. Jakiś wariat zostawił swój samochód na środku ulicy i spowodował gigantyczny korek.
- Naprawdę? A to bałwan! - powiedział John i porwał Wandę w ramiona.

